Nr. 6 (1050). Warszawa, dnia 27 Stycznia (9 Lutego) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Nowe Stany Zjednoczone. — Walka o kongregacye. — Stronnictwa czeskie po wyborach, p. Leona Wasilewskiego. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Ostatni pieniądz, p. Al. Świętochowskiego. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Typy zawodowe, p. L. Krzywickiego. — LITERATURA I SZTUKA: Michał Wiszniewski i puścizna po nim, II, p. G. Korbuta. — Literatura niemiecka, p. J. Fraenkla. — SPRAWY EKONOMICZNE: Zabory i tryumfy przemysłu teutońskiego, II, p. H. Forsztetera. — Na marginesie — Rozporządzenia urzędowe — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Nowe Stany Zjednoczone.

Panowanie królowej Wiktoryi dało Anglii, prócz innych zdobyczy i wytworów państwowych, Australię. Za Wilhelma IV na pobrzeżach południowych i wschodnich wielkiego lądu istniały tylko kolonie karne, przed śmiercią jeszcze Wiktoryi I, d. 1 stycznia, rozpoczynała na tym lądzie życie dziejowe wielka federacya osad, zespolenie się ich dla szczęścia, *Commonwealth*, przypominające podobne z końca XVIII w. w Ameryce, ale przypominające tylko z samego ukształtowania, nie z ducha i dynamiki politycznej, i samych warunków powstawania. Tamto zrzeszenie się było czynem samoobrony i nieprzyjaznego rwania się do niepodległości; to jest zespoleniem się w pokoju dla lepszego korzystania z sił własnych pod osłoną potęgi angielskiej. Nastanie pewno i dla tego nowego wytworu osadnictwa chwila dojrzenia do niezawisłości, ale dziś już oznaczać ją domniemaniami mogłoby tylko — pracowite próżnowanie. Wielki rozwój mocarstwowy świata, nieznany w w. XVIII, gdyby nawet pominąć olbrzymio narosłą potęgę Anglii, sam przez się już ściąga myśl z drogi przewidywań ustalających podobieństwo dążeń i losów między obu wielkiemi zespoleniami politycznemi. Nowa federacya australska powstaje z zamiarem dochowania wiary rządowi angielskiemu i utrzymania jedności z narodem angielskim. Nie czyni tego wszakże z cnoty, jaką każdy kraj macierzysty w odrywających się od niego swych dzieciach widzieć pragnie: czyni to z potrzeby.

To samo, co trzyma przy Anglii Kanadę, od ostatniego powstania w sześćdziesiątych leciech, trzymać też będzie i nową federacyę australską: siła zbrojna Anglii, jej zbrojność i zdolność wojenna, niesłychanie od XVIII w. spotęgowane, oraz obawa rzeczywistego już z krwi obcej nieprzyjaciela, któremu, raz zerwawszy węzły ze swoim i, własnemi siłami oprzeć by się nie zdołano. Jak w Kanadzie, tak w Australii tłumić będzie zapędy to, przez rozsądek kierowane, uczucie, że się korzysta z zupełnej prawie niepodległości, nie potrzebując zrywać ostatniego już a najwyżej na skali bytu zadzierzgniętego węzła: ma się wszystkie korzyści zjednoczenia, nie mając niebezpieczeństw odrębności. Niezmiernie ważnym jest tu wzgląd tożsamości istoty narodowej, oświaty, kultury i najogólniej pojętej cywilizacyi. Same obyczaje już nietylko rodzinne, towarzyskie, cząsteczkowo-społeczne, ale w poważnem znaczeniu polityczne i socyalne— inaczej dzisiaj patrzeć każą na nowe Stany Zjednoczone i prawdopodobieństwo lub nawet konieczność oderwania się ich od macierzy, niż wolno było patrzeć w wieku XVIII na powstającą wówczas unię całkiem od Anglii niezawisłą. I historycznych powodów do zerwania państwo, rząd czy parlament angielski dzisiejszy nie da Australczykom już takich, jakie nierozumnie a despotycznie dali osadnikom Massachussetsu, Pensylwanii i Wirginii, mimo przestróg starego Chatama, ówcześni ludzie u władzy w Londynie stojący. Wszystko zbierając, można wróżyć nowemu małżeństwu między krewnymi zgodne pożycie na długie lata. Zachmurzyć je może tylko nieopatrznie wprowadzony militaryzm, jakaś wielka katastrofa wojenna Anglii lub wreszcie szybki rozrost samej nowo-powstającej federacyi, a w tym rozroście i zachęta do bezpośredniego już wstąpienia na widownię świata bez angielskiego koturnu, własną swą stopą.

Do nowego zespolenia weszło sześć osad: Wiktorya, N. Walia polud., Queensland, Australia południowa i Australia zachodnia na lądzie, oraz Nowa Zelandya z Tasmanią na morzu. Największe natężenie cywilizacyjne ma pierwsza z nich, ma i największy też cywilizacyjny obszar. Wymierające plemię australskie, które uratować by mogła tylko opieka serdeczna i rozumna przyjaciół ludzkości i mężów nauki, jest tak nielicznem, że w rachubę wcale wciągać go niepotrzeba i nie można, gdy się wskazuje stopień zaludnienia i absolutne liczby mieszkańców. We wszystkich koloniach dotychczas niema jeszcze 5 milionów ludności, ale przypomnijmy sobie, że i Stany Zjednoczone Ameryki zaczynały zaledwie z trzema. Nieurodzajne pustyniowe wnętrze wielkiego lądu, oazami tylko większemi wzbijające się nad klątwę bytu, całe stulecie jeszcze może leżeć odłogiem: pomorza do rozkwitu materyalnego wystarczy. I one też nie wszystkie z geologicznych przewrotów ziemi wyszły z błogosławieństwem żyzności, ale ubłogosławione wystarczą dla kilkudziesięciu milionów. Z ogromnej, około 140,000 mil. kw. obejmującej wyspy pojedyncze kolonie porozdzielały między siebie i pobrzeża i wnętrza. Nowa Walia Południowa ma 15 tys., Queensland około 30 tys., Australia Połudn. (z półn.) 40 t., Australia Zach. 52 t. mil kwadr. geogr. Obszar Nowej Zelandyi wynosi 4,800, a Tasmania 1,200 mil kw. geogr. Nadzwyczajny rozwój ekonomiczny od r. 1840 wyraża się w wielkości głównych ognisk handlowo-przemysłowych: Melbourne ma 500,000, a Sydney 450,000 mieszk. Obroty handlowe przewyższają 150 mil., a wydatki publiczne dochodzą do 35 mil. Koleje żelazne przy ludności niespełna 5-milionowej mają 3,400 mil geogr. długości. Pomyślność ekonomiczna Australii popisywała się na niedawnej wystawie powszechnej w Melbournie. I dalej to już tak rozwijać się będzie, własnemi siłami swojemi, potęgując siły Anglii.

WALKA O KONGREGACYE.

Od kilku już tygodni pałac Burbonów w Paryżu rozbrzmiewa walką. Nie byle jakie to zapasy. Nie zwykłe to ocieranie się stronnictw, oscylacya partyj politycznych, od której padają w najgorszym czy najlepszym razie ministerya chwilowej mniejszości, z której żyją dzienniki, którą cieszą się bulwary. Tu walczą idee i światopoglądy; ścierają się ze sobą wieki; szerokim rzutem wykreślony zostaje rachunek dziejowy, niby warstwami geologicznemi układający

się, miejscami zupełnie już nieczytelny, gdzieindziej popiołem z pożogi i stosów ofiarnych przysypany, niezałatwiony i nieskończony. Śmiech w takim wypadku ze zróżniczkowań parlamentarnych! Śmiech z drobnostkowych preparatów frakcyjnych, na mikrotomie politycznym wykrojonych! Niby wielki prąd indukcyjny wstrząsnął organizmem polityków z urzędu i z obowiązku, sztuczne czy naturalne wszakże drobne w istocie rzeczy różnice frakcyjne zniósł; a zespalając drobiny, wytworzył dwa odrębne, w sobie skończone, wzajem się wykluczające, niezdolne do kompromisów, do wymiany, niezdolne do jakiegokolwiekbądź współistnienia pokojowego „ciała". To już nie ludzie walczą, jeno bogi. Ahuramazda raz jeszcze po tylu historycznie stwierdzonych próbach—chwyta się za bary z Arymanem. Słońce znów walczy z Nocą; wolna myśl z tradycyą mroków średniowiecznych.

Powodem tej walki, jej podłożem zarazem i areną jest nowe prawo o stowarzyszeniach, które rząd francuski złożył na stole prezydyalnym. Prawo to ma na celu urzeczywistnienie ostateczne wolności stowarzyszeń, proklamowanej przed stu laty w prawodawstwie W. Rewolucyi, niezniszczonej atoli do obecnej chwili, zatamowanej przez bieg rozporządzeń specyalnych z epoki reakcyi. Życie szarej, codziennej, materyalnej potrzeby przełamało oczywiście te nakazy. Zarówno w kodeksie cywilnym jak i handlowym, dzięki prawodawstwu specyalnemu (prawo o syndykatach z r. 1885, 1889, 1890, o towarzystwach kredytowych na wsi, 1894, o towarzystwach pomocy wzajemnej 1898)—uczyniono niejeden wyłom, wyrąbano niejeden kanał dla przypływu idej nowoczesnych. W obecnej chwili—jak wyraził się jeden z mówców—stan jest taki: „jeżeli chcesz założyć stowarzyszenie w celach zysków materyalnych, możesz zdobędziesz majątek, ale jeżeli chcesz za pomocą tego środka osiągnąć wyższy, najzupełniej nieegoistyczny cel—wystawisz się tylko na hańbę sądu poprawczego i zdobędziesz—więzienie".

Prawo nowe tedy znosi wszelkie ograniczenia kodeksu karnego i rozporządzeń z r. 1834. Można od tej chwili za pomocą zwykłej deklaracyi otworzyć każde jakiekolwiekbądź stowarzyszenie, a więc między innemi i stowarzyszenie religijne. Prawo stawia jeden tylko warunek: stowarzyszenie religijne musi być zatwierdzone, uznane przez władzę. To jest warunek zasadniczy istnienia. Prawo też nie godzi w już prawidłowo zorganizowane i prawnie istniejące związki. Uszanuje też wszelkie kongregacye, które na drodze prawnej zdobyły majątek. Względem zaś tych, które nagromadziły swoje bogactwa wbrew prawu, rząd zastosuje artykuł 731 kodeksu cywilnego, przystąpi do ich konfiskaty: osiągnięto stąd środki prawo przeznacza na rzecz fundacyi, która ma zabezpieczyć starość robotników miejskich i wiejskich.

Nawet my, stojący zdala od kiermaszu namiętności francuskich, wyzwolonych i podsycanych przez wypadki lat ostatnich, przypominając sobie tylko, jak wielki udział zdobył klerykalizm, jak silnemi nićmi zdołał związać ze sobą wszystkich wrogów rzeczypospolitej, jaką bezkresną rzeką agitacyi gardłowej i drukarskiej rozlał się po całem życiu francuskiem, jak zawładnął umysłami, znieprawił serca, jak podminował armię, biurokracyę, literaturę, zrozumiemy, że taki odruch rządu republikańskiego, z najtajniejszych głębin jego siły samozachowawczej płynący, jakim w ostatecznym rezultacie jest prawo o stowarzyszyniach — nie może przejść niepostrzeżenie gościńcem życia publicznego. Rząd wiedział, czego ma się spodziewać, przygotował się. Przeciwnicy zrozumieli, że tu nie o byle co spór, ale o sol ich życia: stanęli murem. Z jednej i drugiej strony od miesięcy już gotowano argumenty, zbierano statystykę, sztaby sekretarzy szykowały cytaty, mówcy budzili w sobie geniusze Demostenesów i Dantonów. I w rzeczy samej wyznać musimy, czytając dzisiaj te mowy z jednej i drugiej strony: pościg udał się. Współzawodnicy wyzyskali istotnie wszystkie środki, jakimi rozporządzali. Nie można im nic zarzucić: zarówno pod względem *plein-air'u* logiki, jak uczonej argumentacyi, jak wreszcie prawdziwego, nie koturnowego krasomówstwa, ofiarowali oni na lewicy i na prawicy nietylko Paryżowi i Francyi, ale słuchającemu ich uważnie światu prawdziwe arcydzieła. To też spieszymy skwapliwie zapoznać z ich treścią czytelnika. Pierwszy głos ma referent komisyi Jerzy Trouillot, potem zaprosimy na naszą trybunę hrabiego de Mun—rzecznika klerykalizmu, ostatnie słowo otrzyma prezydent ministrów, autor i promotor nowego prawa, Waldeck-Rousseau. Trouillot rozpoczął od wykładu prawa, opowiedział jego treść i zakres. To był prolog. Następnie przechodzi do kongregacyi religijnych. Jakie zasady względem nich stosować należy? Wolność zupełną, której żąda partya katolicka? System nadzoru? System uznania przez państwo za pomocą prawa lub dekretu? Albo wreszcie system zniesienia? Komisya odrzuciła zasadę absolutnej wolności, jest bowiem zdania, że kongregacye różnią się znacznie od innych stowarzyszeń. Zarzuciła jednak myśl o zupełnej kasacyi, nie chciała bowiem godzić w „prawa zdobyte".

„Obrała drogę pośrednią, drogę aktu prawodawczego. Stąd gniewy — zupełnie nieuzasadnione, gdy uwzględnimy, że prawo pozostawia nietknięte wszystkie kongregacye uznane dotychczas — męzkie i żeńskie, a tych ostatnich liczymy dzisiaj 3,247! Zapytacie, dlaczego chcemy stosować inną zasadę względem stowarzyszeń religijnych? Oto dlatego, że niema żadnego porównania pomiędzy członkiem stowarzyszenia świeckiego, a religijnego. Oto dlatego, że pierwszy, wnosząc do stowarzyszenia swoje myśli i dążąc do wspólnego celu, pozostaje jednak sobą, indywidualnością odrębną, posiadającą swoje własne przyzwyczajenia, interesy, stosunki, swój dom, rodzinę, ojczyznę, a drugi — wchodząc do kongregacyi, traci, musi wyzbyć się tych wszystkich „odrębności." Niemasz dla niego ani domu, ani rodziny, ani ojczyzny, ani wolności, ani — odpowiedzialności! Cóż to bowiem jest ślub posłuszeństwa? Czyliż polega na tem, że spełniamy polecenie bez protestu? To jest stopień pierwszy. Czyliż polega na tem, że spełniamy polecenie, wyrażając swoją zgodę? Wszystko to jeszcze nic. Doskonałe posłuszeństwo wymaga, abyśmy słuchali, nie badając, żali czyn polecony jest sprawiedliwy albo niesłuszny. Fundamentem doktryny jezuickiej jest właśnie posłuszeństwo w zakresie najbardziej bezwzględnym — i oto mamy trupa, tj. człowieka, który słucha, nie mając prawa badać lub zastanowić się nad czynem swoim! Tyle różnicy co do osób! A teraz w znaczeniu majątkowem. Azali istnieje jakiekolwiek podobieństwo pomiędzy majątkiem stowarzyszeń, ograniczonych w czasie trwania, albo jednostek, które z naturalną koniecznością rozchodzą się, umierają, a więc przekazują i dzielą swój majątek, a majątkiem stowarzyszenia wiecznego? A dalej środki zdobywania majątku! Z jednej strony droga pracy, wysiłków osobistych, z drugiej — oddziaływania na sumienia; droga budzenia złudnych nadziei, strachu, kar wiekuistych i wiekuistej nagrody! Czyliż jeszcze nie dość powodów dla wyodrębnienia kongregacyj?

A. Świętochowski.

Ostatni pieniądz.

I.

Piękny, światły, spokojny lud Dramirów nie dawał swym przełożonym prawie nigdy powodu ani do smutków, ani do surowych przeciw niemu wystąpień. Obywatele i obywatelki dzięki potrzebom umiarkowanym i udoskonaleniom technicznym pracowali fizycznie bardzo mało, natomiast rozmyślali, rozprawiali i badali bardzo wiele. Ponieważ okolica, którą zamieszkiwali, była urocza a oni sami śliczni, więc kształcili i zadawalali swe uczucia estetyczne, podziwiając bądź widoki natury, bądź siebie. Codziennie rano i wieczorem wychodzili wszyscy na pola, nad rzeki i do lasów dla rozkoszowania się obrazami przyrody, co tydzień zaś zbierali się na obszernym placu, gdzie wzajemnie przypatrywali się swym cudnym postaciom. Nie było w tem oglądaniu siebie ani próżności, ani wstydu, ani nieczystych pokuszeń lub pożądań, lecz tylko prawy zachwyt artystyczny.

Od pewnego czasu wszakże łagodny ten lud zaczął się burzyć.

Śród wielu ciekawych urządzeń swego grodu mieli Dramirowie olbrzymie muzeum, w którem mieściły się pamiątki historyczne z kilku tysięcy lat. Były tam w przedmiotach rzeczywistych lub modelach rozmaite przeżytki cywilizacyi, które kiedyś posiadały wielką wartość, a w obecnem ich życiu nie miały już żadnego znaczenia, jak: tortury, łuki, strzelby, miecze, batogi, wozy konne, kłódki, dawne stroje, liberye, blankiety wekslowe, chaty bez kominów i inne rzeczy, z wyjątkiem złotych, które wyobrażono jedynie w kolorowych wizerunkach. Na tych starożytnościach Dramirowie uczyli się historyi i nieraz prowadzili przy nich gorące rozprawy, odgadując ich przeznaczenie lub spierając się o wiarogodność.

Przed paru miesiącami, ktoś, kopiąc dołek dla posadzenia nektaryny, znalazł w ziemi żółty, okrągły krążek, na którym z jednej strony odciśnięty był wizerunek serca, kotwicy i krzyża w połączeniu a na drugiej cyfra 20 i 2340 rok. Uczeni, którym ten krążek pokazywano, orzekli, że jest to stara, zaginiona moneta złota wysokiej niegdyś ceny. Wiadomość ta sprawiła na ludzie wielkie wrażenie, nikt bowiem z żyjących nie widział nigdy pieniądza, o którym tyle ciekawych, ohydnych i przerażających opowieści czytano w kronikach dziejów i który uważano za zupełnie wytępiony. Chociaż na wiecu przed trzystu laty przodkowie ich uchwalili i do praw ludzi wpisali, że „pieniądz, jako uwodziciel do wszystkiego złego, jako symbol wszystkich niecnych skłonności człowieka ma być na zawsze przeklęty, wygnany i pod żadną postacią nie będzie do kraju Dramirów wprowadzony, ani nawet przez kogokolwiek z nich przechowywany," przełożeni jednakże wystawili znalezioną monetę na widok publiczny dla zadowolenia ciekawości ludu. Tłumy popłynęły do muzeum dla obejrzenia złotego krążka, który spoczywał na osobnym stoliku. Początkowo przypatrywano się mu z wielkiem zajęciem, ale jak gdyby z obawą i wstrętem. Powoli wszakże te uczucia słabły coraz bardziej i ustępowały miejsca widocznej przyjemności. W oczach surowych i odrazą napojonych migały iskry zadowolenia. Przez ciąg paru tygodni napływ widzów nie przerywał się i nie malał: przychodzili oni kilkakrotnie, niektórzy codziennie, a nie było ani jednej zdrowej istoty, któraby nie obejrzała wystawionej monety. Nie ograniczano się już na oglądaniu jej, lecz dotykano, brano do ręki, a nieraz zdarzało się, że

„Ależ i po za danemi czysto teoretycznemi czyliż nie mamy dowodów historycznych? Apologeci jezuitów dowodzą nam dzisiaj, że kongregacye są dziełem pokoju, że współdziałają miłosierdziu chrześciańskiemu, że stworzyły przepych miast, gasiły nienawiści, budziły w narodach poczucie obowiązku i że ich cnoty są tak wielkie, iż żadne oskarżenie, żadna napaść nie może ich zaciemnić. Przez litość, panowie, cóż mówi historya? Czyżeśmy śnili? Czy dzieje ludzkie są snem tylko? Czyliż snem była okrutna historya inkwizycyi dominikańskiej, która okryła całe południe Francyi popiołem stosów? Czyliż snem tylko była działalność tego zakonu w Hiszpanii — te zabójstwa, ogień, krew, ruiny — pomiędzy rokiem 1475 a 1808, a więc aż po za próg XIX stulecia, gdzie według słów Llorente'a, sekretarza Inkwizycyi, pod zarzutem herezyi spalono 365 tysięcy ludzi? Miałaż to być prawda, że żadne oskarżenie nie jęło się jezuitów? A więc to tylko snem były owa pogarda, wyroki potępiające, owe piętnowania, banicye, które dotknęły zarówno doktrynę, jak teologię, jak moralność zakonu jezuitów? Czyliż mniemacie, żeśmy puścili w niepamięć potępienie, wypowiadane przez osiem zgromadzeń generalnych kleru francuskiego, przez 31 uniwersytetów francuskich, przez 111 biskupów i arcybiskupów, przez 14 papieży, przez uroczysty wniosek parlamentu, a wreszcie stwierdzone banicyą zakonu ze wszystkich państw katolickich Europy? A więc to miałaby być tylko insynuacya, gdy papież Klemens XIV w bulli z r. 1773, wystawił zakonowi świadectwo, że wszędzie niecił tylko zaburzenia i niezgodę, siał zawiści, że walczył nietylko z akademiami, ale i z innymi zakonami, z klerem świeckim, z książętami. W roku 1762 parlament francuski potępił jezuitów z powodu: opilstwa, lichwy, kłamstwa, lubieżności, kalumnii, cudzołóstwa, incestu duchowego; potępieni zostali dlatego, że „psują obyczaje, tłomaczą krzywoprzysięztwo i oszustwo, starają się obchodzić prawo, namawiają sędziów do fałszywych orzeczeń, sprzyjają kradzieżom, dają folgę krwiożerczym instynktom człowieka, rozgrzeszają nienawiść — słowem, stają w sprzeczności z prawem natury, z prawem boskiem, stanowionem i narodów.“ Dodajmy wreszcie potępienie narodów. Jezuitów wygnano z Hiszpanii 1555, z Holandyi i Portugalii 1578, z Francyi 1594, z Wenecyi 1606, z Czech 1618, z Neapolu 1622, z Rosyi 1676, z Hiszpanii 1767, z Francyi 1773. I to wszystko bez powodu?

„Alec słyszę odpowiedź: to wszystko są stare dzieje. Obyczaje uległy zmianie, a wraz z reformacyą obyczajów zmieniły się zakony, ich moralność i ich cele. Dziś nie grożą już żadne niebezpieczeństwa. A więc twierdzę stanowczo: nigdy niebezpieczeństwo nie było większem, ani bardziej groźnem, niż dzisiaj. Dziś właśnie dzięki liczebności swojej, bogactwu, możności nauczania, własnej prasie, własnemu przemysłowi i handlowi — zakony zdobyły przemożny wpływ na kościół i na państwo. Ostrożność parlamentu i władz publicznych staje się koniecznością i obowiązkiem. Rewolucya zniosła zakony, konkordat nie uznał ich, a mimo to, wobec 40 tysięcy kleru świeckiego, Francya liczy 200 tysięcy (32 tys. mężczyzn, 168 tys. kobiet) członków kongregacyi, do czego doliczyć należy 10 tysięcy misyonarzy działających po za Francyą. Majątku kongregacyj obliczyć nigdy nie zdołamy; próżna to iluzya! Wiemy doskonale, jak one stosują wszelkiego rodzaju oszustwa, aby istotną wartość majątku przed władzą zataić. W dziennikach przez kongregacye ogłaszanych pełno jest wiadomości dla osób zainteresowanych, w jaki sposób zapisodawcy postąpić winni, ażeby zapewnić zapisobiercom możliwość korzystania z zapisu. Mimo to, mimo naszej nieodpowiadającej rzeczywistości statystyki, ankieta rządowa określiła majątek nieruchomy kongregacyi na miliard i 70 milionów franków. Tak np. obliczono, że w jednej tylko dzielnicy Paryża (Val de Grace) kongregacye posiadają nieruchomości wartości 47 milionów...

„W Paryżu obok 70 kościołów parafialnych, gdzie urzęduje kler opłacany przez państwo i gdzie mają miejsce chrzty, pogrzeby, małżeństwa i komunie pierwsze, istnieje 511 kongregacyjnych. Uświadommy sobie, że klientela tych ostatnich składa się z eleganckich pokutnic, że tu odbywają się specyalne nabożeństwa, spowiedzi niekiedy służące za przedmiot loteryi, gdy chodzi o spowiednika chwilowo znajdującego się na świeczniku mody, — pamiętajmy o miesiącu Maryi, Ś-go Józefa, Ś-go Serca,—zrozumiemy z łatwością, że tu nie o byle jakie dochody iść [illegible].

„Nie koniec na tem: kongregacye zajmują się handlem i przemysłem, co wzbronione jest klerowi świeckiemu; fabrykują czekoladę, likiery, mydło, ser, wody do zębów, balsam na włosy, wyroby jubilerskie, handlują jarzynami i nierogacizną, spotykamy tu nawet jakiś reklamowany „wosk na trawienie“...

„Nie ulega żadnej wątpliwości, że kongregacye szkodzą kościołowi nie tylko w ten sposób, że pozbawiają dochodów kler świecki. Wywierają, co gorsza, wpływ szkodliwy na jego moralność. Wyliczyłem poprzednio kary i potępienia, jakie sypały się na zakon jezuicki w perspektywie dziejowej. Pomyślmy jednak, że te banicye i piętnowania nie przeszkodziły, aby dziś jeszcze owa wzgardzona teorya moralności, zawarta w t. zw. teologii z Clermont, *Theologia dogmatica ac moralis* Ojca Vincent, była wykładana w 67 seminaryach francuskich.

„Oto próby tej doktryny: „Pomiędzy słowem a giestem istnieje wielka różnica. Giesty z natury rzeczy nie są przeznaczone, jak słowa, aby coś oznaczały. Obowiązek świadczenia uczciwego słowem i giestem nie jest ten sam. Kto na pytanie, na które powinien powiedzieć „tak“, mówi „nie“— popełnia grzech, albowiem kłamie; kto jednak wykonywa giest przeczący, ten nie grzeszy wcale“. „Spowiednicy mają prawo udzielania odpowiedzi wymijających. Ludzie na stanowisku publicznem, jako to rejenci, oficerowie korzystają z tego prawa. Stosuje się to nawet do osób prywatnych. Małżonka pytana przez męża o cudzołóstwo, którego jest winną, może odpowiedzieć, że jest niewinnę, bądź w przekonaniu, że otrzymała absolucye, bądź też może powiedzieć, że nie popełniła, dodając w myśli,—aby wyznać mężowi...“ „Żona może pewne dobra męża zabierać na swoją wyłączną własność, o ile chce odwrócić od niego niebezpieczeństwo duchowe i o ile stara się zapewnić zbawienie jego duszy przez modlitwę, jałmużnę i ofiarę...“ Inaczej, żona może okradać męża dla dobra kościoła...

„Majątek kongregacyj, istniejących wbrew prawu, — wszak nie należy do ich członków. Majątek i kongregacye— to jedno! Że zaś kongregacya nie stanowi osoby prawnej, tedy nie może na mocy prawa cywilnego posiadać majątku. Szanujemy tedy prawo powszechne, przystępując do konfiskaty majątku. Nie chcemy atoli postąpić na podobieństwo monarchii, która przelewała w taki sposób zdobyty majątek do skarbca swego, albo na podobieństwo papieży, którzy w taki sam sposób napełniali swój skarbiec własnością jezuitów. Tylko, że skarbiec od takich przypływów bywał pełnym, albowiem jezuici musieli składać im przysięgę, że niczego nie ukryli... My zaś chcemy z majątku tego zbudować dzieło wysokiego znaczenia społecznego. Mówicie o dziełach miłosierdzia, gwoli których bronicie zachowania kongregacyi. My stajemy w promieniu tej domniemanej działalności, tylko że nie dobroczynności, jeno *solidarności* budujemy pałac chwały, nadając wartość i powagę *prawa* temu, co w waszych rękach było tylko jałmużną.........

---

ktoś zaciskał ją w swej dłoni i nie chciał lub — jak twierdził — nie mógł jej oddać innym. Wywoływało to skargi, napomnienia, ostre słowa i kłótnie. Sala muzeum, gdzie leżał pieniądz, rozbrzmiewała coraz częściej mocną wrzawą, która przenosiła się na zewnątrz. W całym również wyglądzie i usposobieniu ludu objawiła się uderzająca zmiana: spokojne dawniej twarze zamąciły się jakiemś głębokiem rozdrażnieniem, objawy zdrowia znikły pod znamionami choroby, jasność spojrzeń zmąciła się gniewem, najtrwalsze stosunki zaczęły wykrzywiać się i pękać, ze słów ulotniła się woń przyjaźni, braterstwa i miłości, a wydobywał się swąd spalonej żądzy. Nie rozprawiano już o tajemnicach wiedzy, nie zachwycano się pięknymi widokami natury, nawet nie zbierano się dla podziwiania wzajemnie swych uroków. Na wszystkich legł smutek, niby szary popiół, pod którym tliło się niszczące zarzewie.

Przełożeni spostrzegli tę zatrważającą zmianę, ale nie mogli odgadnąć jej przyczyny. Nareszcie pewnego dnia, kiedy zbita masa ludzi zatłoczyła salę, walcząc o możność obejrzenia lub dotknięcia pieniądza, stojący przy nim starzec wydał dziki okrzyk. Upadł on na kolana, a podniósłszy ręce w górę i utkwiwszy rozogniony wzrok w żółty krążek, wołał: „Mój ty cudowny talizmanie szczęścia, najcenniejszy darze losu, źródło wszelkiego dobra, mój ty obrazie wszechpotężnego bóstwa!.. Kocham cię, czczę, modlę się do ciebie!.. Wysłuchaj moich błagalnych próśb i zejdź do mnie!.. Wezmę cię, nie oddam, do grobu z sobą zabiorę!..“ To mówiąc, chwycił pieniądz, zaczął go całować, przyciskać do serca i skakać, wrzeszcząc dzikim śmiechem: „Mój, mój, drogi mój!“ Gdy mu go odbierano, ryczał, szamotał się, bił, kąsał, wierzgał. Zaledwie zdołano waryata ubezwładnić i odprowadzić do domu, gdzie nie przestawał szaleć.

Wypadek ten wstrząsnął obecnymi. Tłum wylał się z muzeum w wielkiem wzburzeniu i rozbił się na gromady, w których kipiały wrzące namiętności. Pomieszane a coraz silniejsze krzyki splotły się w zgiełk, grożący co chwila wybuchem. Nagle w jednej ze skupin zakotłowały się ciała, wydarł się z niej krótki, chrapliwy krzyk, a po nim buchnęły zbite w chór głosy zgrozy. Pospieszono zewsząd do tego miejsca: na ziemi leżał młody człowiek, zabity przez własnego brata.

Najstarsi śród Dramirów nie pamiętali zabójstwa; to też rzuciło ono na nich straszny popłoch. Rozeszli się do domów milczący i pognębieni. Pierwszy to raz nad ich życiem zawisła taka chmura i uderzył taki piorun.

Nazajutrz pięciu przełożonych zebrało się na naradę. Przedewszystkiem polecili oni zamknąć pod strażą w osobnych domach waryata i mordercę. I tak po trzystu latach, w ciągu których nie zdarzył się u Dramirów ani jeden obłęd i ani jedna zbrodnia, musieli oni założyć nanowo pierwszy szpital dla waryatów i pierwsze więzienie.

Oba te niespodziewane wypadki, które cały lud okryły wstydem i żałobą, były dla niego zbyt ważne i groźne, ażeby nie podjęto najstaranniejszych badań i poszukiwań ich źródła. Jakoż stwierdzono, że były one ostatniem ogniwem w łańcuchu chorobliwych podnieceń, które się objawiły w ludzie natychmiast po wystawieniu pieniądza. Skutkiem tego przełożeni postanowili: przywrócić moc obowiązującą uchwale wydanej przed trzystu laty przeciw pieniądzom, a znaleziony przekuć i podzielić na cieniutkie, małe blaszki, które będą wetknięte pod łuski żywej ryby, puszczonej następnie do morza.

II.

Tegoż dnia przeniesiono w pudełku pieniądz do kuźni i powierzono go poważnemu pracownikowi, który zamknął się przed natrętami, ażeby mu nie przeszkadzali w robocie. Po paru wszakże godzinach wyszedł drżący, zmęczony, z włosami

STRONNICTWA CZESKIE PO WYBORACH.

I.

Świeżo zakończone wybory do austryackiej Rady państwa dozwalają przyjrzeć się bliżej stosunkom partyjno-politycznym monarchii Habsburgów. Wyniki walki wyborczej, uwydatniając straty i zyski poszczególnych stronnictw, pozwalają nietylko ocenić siły i znaczenie tych ostatnich, ale i czynić przypuszczenia co do najbliższej ich przyszłości. Mówimy o *najbliższej*, gdyż wszelkie przepowiednie na gruncie austryackim, obliczone na dłuższy, bodaj paroletni okres czasu, stale zawodzą w tem „państwie nieprawdopodobieństw."

Pozostawiając na uboczu rezultaty kampanii wyborczej w niemieckich, południowo-słowiańskich, polskich, rusińskich i rumuńskich częściach Austryi, chcemy scharakteryzować zdobycze i porażki stronnictw czeskich. Czechy bowiem stanowią dziś najbardziej jątrzącą się ranę organizmu państwowego Austryi, sprawy czeskie usuwają na plan dalszy prawie wszystkie kwestye polityczne, nawet społeczno-ekonomiczne, a ten lub inny stosunek do żądań i dążności czeskich decyduje o powodzeniu kandydatów na posłów nietylko w niemieckich częściach Czech, ale i w rdzennie niemieckich krajach alpejskich, jak to pokazuje upadek przy ostatnich wyborach Dipaulego i Ebenhocha.

Rzućmy okiem na ustosunkowanie się stronnictw w społeczeństwie czeskiem.

Partya młodoczeska, która po usunięciu z parlamentu wiedeńskiego reakcyjnych i ugodowych staroczechów, nie bez słuszności mogła twierdzić, że reprezentuje całość narodu czeskiego, obecnie jeszcze stanowi najsilniejsze skupienie partyjne w Czechach i na Morawach. Ale o monopolu tej partyi dziś nie może być już żadnej mowy, gdyż obok niej, a nawet — co ciekawsze — w samem jej łonie powstało w ciągu ostatnich lat kilku niemało nowych partyj i frakcyj. Z nielicznymi wyjątkami reprezentują one albo też starają się reprezentować interesy ekonomiczno-społeczne poszczególnych warstw społeczeństwa.

Pomijając robotników fabrycznych, którzy są zorganizowani oddawna w stronnictwo społeczno-demokratyczne, najpoważniejszą z czeskich partyj narodowych jest t. zw. agrarna, broniąca interesów zamożnej warstwy posiadaczy średniej własności ziemskiej. Warstwa ta do niedawna jeszcze była jednym z dwóch filarów stronnictwa młodoczeskiego, a i teraz jeszcze pomiędzy posłami młodoczeskimi w sejmie praskim jest znaczna liczba takich właścicieli średniej posiadłości ziemskiej, którzy nietylko sympatyzują z ruchem agrarnym, ale go popierają i nie tają się z zamiarami porzucenia dlań obozu młodoczeskiego. Dalej zobaczymy, iż próby w tym kierunku ujawniły się już i przy wyborach styczniowych.

Agraryusze w kwestyach ekonomicznych zajęli stanowisko obrony interesów stanowych, sprzeciwiają się wszelkim próbom reform społecznych na gruncie wiejskim i są nieprzejednanymi przeciwnikami powszechnego głosowania. Właśnie ten ostatni punkt był głównym powodem niezadowolenia z młodoczechów, którzy posiadają w swym programie postulat powszechnego głosowania, choć — w rzeczywistości — nie robią zeń oddawna żadnego użytku. Pod względem narodowym agraryusze tak samo pragną urzeczywistnienia czeskiego prawa państwowego, jak i młodoczesi i na tym punkcie są jeszcze radykalniejsi od nich. Kandydaci agraryuszów zaznaczali przed wyborcami, że postawią się w parlamencie niezwykle radykalnie, użyją wszelkiej broni — przedewszystkiem zaś obstrukcyi — byle naprawić to, co napsuli młodoczesi swem „niedołęstwem."

I drugi z filarów partyi młodoczeskiej — warstwa rękodzielnicza — poczyna się chwiać, choć nie w tym stopniu, co właściciele średniej posiadłości ziemskiej. Rękodzielnicy i rzemieślnicy czescy też próbują organizować się samodzielnie, to w partyę rękodzielniczą, to w antysemicką, ale, jak dotychczas, nie zdobyli wielkich sukcesów, a kandydaci, wysuwani przez nich z okazyi różnych wyborów, nie zdołali zdobyć znacznej ilości głosów. Swoją drogą ich opozycya znacznie szkodzi stronnictwu młodoczeskiemu.

To ostatnie wskutek usuwania się z pod jego kierownictwa warstw, na których dotychczas najmocniej się opierało, znacznie zmieniło swój pierwotny charakter. Dziś jest ono przeto reprezentantem głównie burżuazyi czeskiej, a zarazem i stanu urzędniczego. Wchłonęła ona znaczną część dawnych stronników staroczechów właśnie z tej ostatniej sfery.

Co do szerszych warstw inteligencyi zawodowej i młodzieży (odgrywającej w Czechach, jak wiadomo, dość wybitną rolę w życiu politycznem) to te znowu dzielą się pomiędzy kilka partyj, posiadających różnorakie znaczenie.

Najgłówniejszą z pomiędzy „młodych" (jak się je nazywa w Czechach) partyj jest t. zw. radykalna prawno-państwowa, odpowiadająca ze względu na swój skrajny nacyonalizm i krzykactwo *schonerer* owcom niemieckim. Tak ta, jak i druga „młoda" partya — radykalno-postępowa, wyłoniły się z żywego ruchu młodzieży, który rozpoczął się w Czechach pod wpływem działalności profesora T. Masaryka.

Z dość chaotycznego ruchu studenckiego początków i pierwszej połowy dziewiątego dziesięciolecia wyłonił się kierunek „postępowy," który rozwinął bardzo silną i płodną działalność na polu literacko-publicystycznem. Część postępowców chciała jedynie zreformowania partyi młodoczeskiej w duchu demokratycznym, inni parli do założenia odrębnej partyi — w końcu część postępowców weszła w skład stronnictwa młodoczeskiego i utonęła w niem bez śladu, część zasiliła ruch robotniczy, część pozostała w luźnym stosunku z młodoczechami, ale się ich nie wypierała ostatecznie, część nareszcie założyła własną partyę.

Partya radykalna prawno-państwowa bardzo szybko uwolniła się od swej postępowości, zachowując i potęgując jeszcze radykalizm narodowy, ubierając się wkrótce w fanatyczny antysemityzm. Jej reprezentant, poseł na sejm praski, dr. Karol Baxa, zdobył sobie wielką popularność niesłychanie szowinistycznemi mowami oraz wybitną rolą, jaką odegrał podczas procesu Hilsnera w Polnie. Płytki demagog, człowiek ograniczony, zdobył sobie wielką popularność w kołach szowinistów i klerykałów, ale do wzmocnienia partyi nie przyczynił się. Pędziła ona i pędzi żywot suchotniczy, a główny jej organ, *Radikalni Listy*, upadł niedawno, posiadając zaledwie 1,500 prenumeratorów.

Drugi odłam postępowców — partya radykalno-postępowa (organ *Samostatnost*) jest również skrajnym pod względem narodowym, ale w kierunku społeczno-ekonomicznym nie wysługuje się bezpośrednio reakcyi — jak Baxa i jego zwolennicy.

---

przylepionymi na spotniałem czole i udał się do przełożonych.

— Nie mogę — rzekł, stanąwszy przed nimi — przekuć tego szatana. Zaledwie położyłem go na kowadle, otworzyła się w nim para oczu groźnych, bezdennych, przyciągających niepokonaną mocą. Zdawało się, że one przysuną mnie do siebie i wchłoną. Daremnie usiłowałem wydrzeć się im, daremnie wzywałem na pomoc rozum i mówiłem sobie, że to tylko przywidzenie, któremu powinienem się oprzeć: straszne oczy ubezwładniły mnie. A gdy wziąłem młotek, podniesiona ręka stężała mi i nie mogłem jej opuścić. Oddajcie ten przeklęty krążek komu innemu — ja go nie zwyciężę!

Wezwano innego robotnika, który wydrwił tę opowieść, obiecał szybko przekuć pieniądz i również zamknął się w kuźni. Ale i ten wkrótce z niej wybiegł blady, zgorączkowany, prawie bezprzytomny.

— Czary, rzeczywiste czary! — wołał do przełożonych. — Przyszedłszy do kuźni, ukląkłem i pomodliłem się. Ale skoro tylko spojrzałem na pieniądz, zaraz dostrzegłem, że on zmienia się: naprzód wystąpiły przecudne, czarne oczy, potem rozdęte nozdrza, potem czerwone, uśmiechnięte usta, wreszcie cała twarz prześliczna i tak kusząca, że przywarłem do niej wargami i zacząłem ją namiętnie całować. Boże, ratuj! — zawołałem. Nie pomogło. Piłem jej odurzający urok bez pamięci i nasycenia, wszystkie moje zmysły rzuciły się na tę pokusę, jak zgłodniałe lwy na gazelę, a gdy największym wysiłkiem oderwałem się od niej na chwilę, przybiegłem tu do was, ażeby powiedzieć, że tego czaru nie pokonam.

Jeśli pierwszy zawód zaniepokoił przełożonych, to drugi przejął ich strachem. Co począć dla zobojętnienia złowrogiej siły? Powiadomiony lud zebrał się przed domem narodowym, ale więcej objawił rozdrażnienia, niż rozwagi. Z najrozmaitszych i często dziwacznych rad przełożeni nie mogli wybrać ani jednej rozumnej i obiecującej powodzenie. A kiedy zdania splątały się już beznadziejnie, wyszła z tłumu i zbliżyła się do kierowników narodu piękna dzieweczka, trzymająca za rękę dorodnego młodzieńca i rzekła śmiało:

— Mój Arjos przekuje pieniądz.

W białej sukni, która, jak liście kielicha kwiat, tak czule i zazdrośnie osłaniała rozwijający się, pełny pączek jej śnieżnego ciała, z podniesioną nieco główką, na której słomkowy kapelusz, opasany lekką, liliową zawojką, pieścił bujne, czarne włosy, z twarzą szczęśliwej i uroczej wiosny, w której każdy szczegół był światłem, barwą i wonią, wytrzymała ona ciekawe i zdziwione spojrzenia, które zewsząd ku niej podążyły.

— Jesteś pewna, że on to zrobi? — zapytał jeden z przełożonych.

— Tak! — odpowiedziała z dumną stanowczością. — Arjosie — mówiła, zwracając się do młodzieńca —, kochasz ty mnie?

— Kocham! — rzekł stanowczo, jak gdyby przysięgał.

— Miłujesz ludzi?

— Miłuję.

— Idź!

On tylko wziął ją jeszcze raz w swoje oczy czułem spojrzeniem i odszedł tak spiesznie, że kędziory jego włosów drgały w niecierpliwym ruchu pod szerokiemi skrzydłami kapelusza, który rzucał cień na jego twarz pięknie rzeźbioną i nieco ogorzałą.

Trwoga naprzemian z ciekawością targała sercami Dramirów, gdy młodzieniec zamknął się w kuźni. Ze wzrastającym niepokojem oczekiwano jego ukazania się. Tymczasem upłynęło wiele godzin, a on nie wychodził, słychać tylko było, że kuje.

III.

Przystąpiwszy do kowadła — jak sam później opowiadał — zauważył, że leżący na niem pieniądz zaczyna się mienić i oży-

Zupełnie samodzielną frakcyę inteligencyi stanowi „czeskie stronnictwo ludowe.“ Pomimo tej nazwy jest to partya inteligencyi *par excellence*. Jako organizacya partyjna istnieje od bardzo niedawna, choć kierunek, przez nią reprezentowany, datuje się nie od wczoraj. Na czele tej partyi stoi prof. T. Masaryk, jedna z najwybitniejszych osobistości, jakie wogóle wydał naród czeski. Jako „realista,“ powołał on do życia silny prąd reformacyjny na wszystkich polach życia: w nauce, publicystyce i polityce. „Realiści,“ należąc przez pewien czas do stronnictwa młodoczeskiego, wnieśli tam nowego, współczesnego ducha, pogłębili program społeczny tej partyi i zmusili ją do przyjęcia żądań powszechnych, bezpośrednich i tajnych wyborów do wszelkich ciał ustawodawczych. Widząc jednak, że w parlamencie nie da się dużo zrobić ze względu na nieprzygotowanie całego społeczeństwa do poważnej roboty politycznej, Masaryk składa w r. 1893 mandat i zaczyna pracować w samych Czechach. Jako profesor filozofii w uniwersytecie praskim, zdobywa swymi wykładami ogromną popularność wśród młodzieży, popychając ją do samokształcenia się, pojętego w jak najszerszem znaczeniu. Pod wpływem Masaryka wśród młodzieży powstaje silny ruch umysłowy, na którego gruncie wyrosły wszystkie „młode“ stronnictwa czeskie. Jako redaktor miesięcznika *Nasza doba*, Masaryk oddziaływa na całą młodą inteligencyę, zwalczając wstecznictwo we wszystkich jego formach, burząc stare przesądy, rzucając garść nowych myśli w sprawie najważniejszych zagadnień narodu czeskiego. W szeregu dzieł publicystycznych („Kwestya czeska,“ „Przyczyny naszego kryzysu dzisiejszego“ itd.) Masaryk poddaje surowej krytyce dotychczasową działalność partyj czeskich, nawołuje je do reform i wytyka drogi tym ostatnim *).

Dokoła prof. Masaryka skupia się z biegiem czasu liczny zastęp inteligencyi — literatów, uczonych, publicystów i zawodowców wszelkiego rodzaju. Działalność tej grupy zwiększa się nieustannie. Dzięki pracy nad oświatą ludu miejskiego, dzięki dzielności wydawniczej realiści stają się pionierami ruchu reformatorskiego, zainaugurowanego przez Masaryka i w końcu organizują się w partyę polityczną (w r. 1900).

*) W ostatniej walce wyborczej masarykowcy nie wzięli udziału, popierali tylko kandydatów społeczno-demokratycznych w V kuryi.

Program realistów, którzy przyjmują nazwę „czeskiej partyi ludowej“ jest jedynym (jeśli pominąć demokratów społecznych) wszechstronnie opracowanym programem czeskim. Szczerze demokratyczny, bardzo radykalny pod względem społecznym program czeskiej partyi ludowej pozbawiony jest wszelkiego szowinizmu, cechującego tak żądania młodoczechów, jak i programy radykałów. Masarykowcy nie zamykają oczu na ten fakt, że w ziemiach czeskich przeszło trzecią część mieszkańców stanowią Niemcy, przeto dążą do porozumienia z żywiołem niemieckim na gruncie obrony interesów mas ludowych. Bodaj, czy nie najważniejszą zasługą masarykowców jest wypowiedzenie stanowczej walki tej straszliwej demoralizacyi w polityce, którą stworzyli w Czechach młodoczesi. Bezwzględna uczciwość, posługiwanie się tylko czystymi środkami, nieoszczędzanie żadnych wybryków bez względu na to, kto się ich dopuszcza — oto zasadnicze cechy polityki masarykowców. Oni jedyni wśród inteligencyi czeskiej jasno rozumieją niebezpieczeństwa klerykalizmu, coraz bardziej szerzącego się w Czechach, a zwłaszcza na Morawach i walczą z nim na każdem polu. Ich stanowisko w procesie Hilsnera przysporzyło młodemu stronnictwu mnóstwo wrogów, co poniekąd opóźniło ostateczne zorganizowanie się w partyę i przekształcenie tygodnika *Czas* na dziennik partyjny. Po pewnym jednak czasie wszyscy uczciwi ludzie musieli uznać słuszność stanowiska masarykowców.

Nie sądzimy, ażeby partya ta kiedykolwiek odegrała wybitną rolę w *praktycznej* działalności politycznej Czech. Na zawadzie temu stoi głównie fakt, że niema w społeczeństwie czeskiem klasy, na której masarykowcy mogli by się oprzeć. Prawdopodobnie pozostaną oni przez bardzo długi jeszcze czas czynnikiem bardzo dodatnio oddziaływającym na całokształt życia umysłowego i politycznego Czech, zapładniającym je ideami humanitarnemi i oczyszczającym ze wstecznych naleciałości wszelkiego rodzaju, ale w czysto politycznej akcyi słabym ze względu na swój wyłącznie ideologiczny charakter *).

Oryginalną partyą jest t. zw. narodowo-społeczna czyli „robotników narodowych.“ Stworzona w r. 1897 przez młodoczechów dla zaszachowania demokratów społecznych, kiedy ci ostatni stanowczo oświadczyli się przeciwko czeskiemu prawu państwowemu, partya ta nie miała być pierwotnie niczem innem, jak posłusznem narzędziem w ręku młodoczechów dla rozbijania organizacyj robotniczych. Stopniowo jednak partya ta, w której robotników *de facto* było bardzo mało, poczyna wyodrębniać się i emancypować z pod wpływów młodoczeskich. Kilka jednostek ambitnych skorzystało z nadarzającej się sposobności, ażeby zrobić dzięki „robotnikom narodowym“ karyerę polityczną. W tym celu poczęto podszczuwać tych ostatnich przeciwko własnym ich rodzinom i doprowadzono w końcu do zerwania ostatecznego z partyą młodoczeską. Demagogia najpośledniejszego gatunku, nieuczciwość polityczna, walka frazesami—wszystkie to cechy taktyki młodoczeskiej u „robotników narodowych“ zostały doprowadzone do monstrualnych rozmiarów i zwróciły się przedewszystkiem przeciwko samym młodoczechom, i naturalnie przeciwko demokratom społecznym. Światopogląd „robotników narodowych“ stanowi jakieś dziwaczne połączenie narodowego szowinizmu z antysemityzmem, słowianofilstwem, klerykalizmem i hasłami, zapożyczonemi z „Hilfe“ pastora Naumanna. Część „robotników narodowych“ oddzieliła się od głównego korpusu, dowodzonego przez Klopacza i idzie samopas, kierowana przez byłego anarchistę, indywiduum wykolejone moralnie, niejakiego Farka.

Spis partyj czeskich byłby niezupełny, gdybyśmy nie wspomnieli o klerykałach, rozwijających bardzo energiczną działalność, zwłaszcza na Morawach, gdzie zdążyli podkopać stanowisko młodoczechów miejscowych bardzo silnie. Wpływ klerykałów wzrasta w Czechach ustawicznie. Umieją oni korzystać ze wszystkich błędów tak starych, jak i nowych partyj, przytem doskonale dopasowują się do panujących w danej chwili kierunków, wyzyskując na swoją korzyść najjaskrawsze

*) W ostatnich dniach w *interview*'ie z dziennikarzem Masaryk domagał się rewizyi konstytucyi austryackiej nietylko ze względu na zatargi językowe, ale i z tytułu koniecznych zmian w ordynacyi wyborczej i demokratyzacyi całkowitego ustroju państwowego. Marzeniami — „realisty“ — możnaby nazwać takie żądania!

---

wiać: przybierał on kolejno oblicze groźne, zalotne, szydercze, dobrotliwe, wściekłe, łagodne, a te przedzierzgi następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. Młodzieniec ujął wielki młot i uderzył nim w złoty krążek z całą siłą. Rozległ się gromowy huk, jak gdyby ziemia pękała, a po nim trysnęły z pieniądza wysoko w górę grube strumienie cieczy gęstej, brudnej, lepkiej, cuchnącej, która zalewała kuźnię coraz wyżej podnoszącem się błotem. Nagle z tego bagna wynurzył się wieniec postaci męzkich i niewieścich, które tańcząc i obryzgując się wzajemnie, zawyły przeraźliwie. W ich gardłach grzechotały jakieś niezrozumiałe dźwięki, ich spojrzenia wpijały się pożądliwie w złoty krążek lub nienawistnie kłuły kującego, ich oczy wyskakiwały ze swych obsad i wracały do nich, języki wysuwały się jak żądła i ociekały jadowitą śliną. A młodzieniec ciągle uderzał młotem w pieniądz. Wreszcie upiory wydały rozpaczliwy krzyk, nagle stanęły, potem rzuciły się na siebie, zaczęły się gryźć zajadle i, zwinięte w wielki, warczący i rzężący kłąb, zapadły w błoto i wraz z niem bez śladu znikły.

Młodzieniec kuł dalej. Z rozpłaszczonego krążka strzeliły znowu długimi sznurami krople łez, które opadające napełniały izbę gorzką i słoną wodą. Wynurzyły się z nich i przesunęły wokoło inne widma, chude, wynędzniałe, które zaśpiewały pieśń cichą, żałosną, nutami bolesnej rozpaczy przeplataną. Głosy ich cichły, postacie rozwiewały się, aż powoli wraz z opadem łez w ziemię wsiąkły.

Młodzieniec nie przestawał bić młotem, a na kowadle obwisł już duży płat złotej blachy. I oto teraz trysnęły z niej w górę strugi krwi, która zbierała się i narastała w kuźni. Na czerwonej powierzchni ukazał się szereg trupów z otwartemi ranami i zamkniętemi tajemnicami w twarzach. Opłynąwszy wokoło, zniknęły wraz z krwią, która je unosiła.

Młodzieniec kuł bez przerwy, a złota blacha rozszerzała się w obszerną i cieniutką chustę. Już z niej pod młotem nic nie sączyło się, ale jeszcze przez jakiś czas dobywały się stłumione jęki, rzewne skargi i krótkie łkania. Nareszcie i one ucichły, natomiast zadźwięczał ten czysty odgłos szlachetnego metalu, który natura uczyniła jego duszą. Wtedy młodzieniec kuć przestał. Z bladą od wysiłku twarzą odrzucił młot, zdjął z kowadła wiotką, jak siatka pajęcza, blachę, owinął ją sobie około kapelusza i wyszedł z kuźni.

Słońce rzuciło na nią garść promieni, które zapaliły się w niej oślepiającym blaskiem. Lud, ujrzawszy młodzieńca w tym lśniącym hełmie, powitał go z radosnem uniesieniem. Otucha wionęła po sercach.

IV.

Na wielkim stole domu narodowego dwadzieścia dziewcząt zaczęło wykrawać nożyczkami półkrążki ze złotej blachy i wsuwać je pod łuski żywego łososia, przyniesionego z wodozbioru. Żadna przytem nie uczuła najmniejszego dreszczu. Śród tłumów ludu przełożeni odnieśli rybę do morza i puścili ją z łodzi do wody, w której mignąwszy pozłacaną łuską, wbiła się w głębię.

Tak zginął ostatni pieniądz.

Stojący nad brzegiem odetchnęli, jak po ciężkiem, minionem strapieniu. Na twarzach zajaśniała pogoda, a w słowach zadźwięczała serdeczność. Na przodzie ludu wracającego do domu szła piękna dziewczyna, trzymająca za rękę młodzieńca i mówili z sobą:

— Ty mnie bardzo kochasz..

— Kocham.

— I miłujesz ludzi...

— Miłuję.

hasła. Klerykali pozakładali mnóstwo stowarzyszeń: rękodzielniczych, kobiecych, chłopskich, studenckich, naukowych i literackich, wydają szereg czasopism, poczynając od dzienników politycznych a kończąc na dekadenckich przeglądach literackich lub tygodnikach dla dziatwy i w ten sposób zyskują znaczny wpływ na całe społeczeństwo czeskie. Sojusz młodoczechów z klerykałami niemieckimi w Radzie państwa znacznie utrwalił ten wpływ, a stale wzmagający się antysemityzm ułatwia mu przenikanie do mas ludowych.

(D. n.).

Leon Wasilewski.

Tydzień polityczny. Przewidywania rządów absolutnych w Austryi nie sprawdziły się. Mowa tronowa, d. 4 b. m. w Burgu, mówi tylko o „silniejszem ujęciu dotychczasowych postanowień konstytucyi,“ tak, aby „i prawa przedstawiennicze ludów monarchii były lepiej obwarowane i odpowiedzialność rządu ściślej określona,“ aby „zarząd, wolny od wszelkich politycznych wpływów, prowadzonym był tylko w interesie państwa i ludności.“ Samo to „ujęcie“ ma być konstytucyjnem, dokonanem przez organa prawodawcze. Gdy się „czasy“ uspokoją, będzie można zmienić regulamin Izby, „nie naruszając wolności słowa, ani przywilejów sejmu.“ Zatem poszanowanie konstytucyi. Ale cesarz przypomina, że ją sam nadał. Przyniosła ona obfite owoce, zbawienny wpływ jej sięga w dół aż do gmin. Zasadnicze ustawy państwa są cenną własnością ludów monarchii, a na zewnątrz symbolizują jedność i siłę państwa. Boleśnie dotyka cesarza bezowocność sejmowania w zakresie projektów zmierzających do rozkwitu krajów koronnych. Korzystając z praw swoich, trzeba względem tych krajów spełniać obowiązki. Reformy już rozpoczęte czekają na wykończenie. Walki między narodowościami udaremniły starania o moralne i materyalne dobro Rozwiązanie sporu o język powinno być takiem, aby zadowoliło wszystkich, aby było i czynem sprawiedliwości i aktem konieczności. Rząd ma obowiązek utrzymać jednolitość języka w pewnych zakresach swej działalności jako „starą i wypróbowaną“ instytucyę. Cesarz pragnie, aby ludy cieszyły się posiadaniem swych praw konstytucyjnych i — nabrały rozumu, co im trochę z trudnością przyjdzie. Kończy Franciszek Józef I wezwaniem: „Przywróćcie, panowie, we wspólnem braterskiem dążeniu pokój, którego ta chwila tak potrzebuje. Strzeżcie, tak jak to wasi ojcowie czynili, tego czcigodnego państwa, które daje wszystkim ludom osłonę pewną. Świećcie przyszłym pokoleniom przykładem, jak z dążeń jednostkowych czynić ofiarę dla dobra ogólnego.“ Groch na ścianę!

D. 1 b. m. stronnictwo Niemców-katolików zlało się z Niemcami dawnego centralizmu w „Centrumsclub“ — dzięki Czechom. Prezesem klubu Kathrein, wiceprezesami Treiunfels i Fuchs.

Wybór prezydenta Izby poselskiej w dniu 8 b. m.

Dzienniki zagraniczne ogłosiły encyklikę papieską.

Chiny reformują się: 98 punktów nowości prawodawczych wygotował dwór w Hsi-ngan-fu dla narodu. Sięgają one jeszcze przewrotu na dworze przed półtora rokiem. Wtedy już młody cesarz chciał z nimi wystąpić, ale cesarzowa, t. zw. wdowa, zrobiła rewolucyę pałacową. Wydobycie się Chin ze stęchlizny i zgnilizny może tylko szczerą obudzić życzliwość w głowach nieobałamuconych hyper-europeizmem — ale... czy nie za późno? Waldersee zrobił nową wyprawę, odegnawszy pierwej wszystkich korespondentów: dopiero tam musi gospodarować! Wyprawy potrzeba nie na Chiny, ale na niego.

W Belgii od niedawnego czasu znowu wiele mówią o zamachu bądź Francyi, bądź Niemiec na ten kraik. Oczywiście chodzi tylko o kredyt na cele wojskowe, o nowe zwycięztwo militaryzmu. Przy tej sposobności warto przypomnieć słowa, które dawno już wyrzekł słynny poeta Baudelaire: „Anneksya — to pierwsze słowo, które tu w Belgii słyszałem. Tyle Belgowie o niej mówią, że zarazili nasze papugi gazeciarskie. Belgia, oczywiście, nie chce być zabraną, ale domaga się, aby jej kto pożądał. Jest jak kokietka, która chce budzić pożądanie. Inwazya i aneksya — oto są sny wypudrowanej starej panny, która wciąż sądzi, że każdy o niej tylko myśli.“

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

„Artibus.“

No, już teraz znamy całą tajemnicę nowej „dobrej nowiny,“ która przed kilku tygodniami urodziła się na zebraniu w „pałacu błękitnym“ i która rozpocząwszy od 500,000 rb, przeszedłszy szybko do 50,000, zakończyła naszą radość obietnicą „znalezienia ludzi dobrej woli,“ gotowych złożyć tę ostatnią sumę dla stworzenia „galeryi narodowej.“ Już wówczas zaznaczyliśmy, do kogo panowie mrugają. Jakoż zrozumiano ten sygnał we właściwych sferach. Po miesiącu starań uchwała „pałacu błękitnego“ — jak donosi *Kur. warsz.* oblekła się w takie ciało:

Zobowiązali się wnosić rocznie:

Z arystokracyi rodowej:

Hr. Colonna Czosnowski	rb. 1000	rocznie,
Konstanty hr. Potocki	„ 1000	„
Maurycy hr. Zamoyski	„ 1000	„

Z mieszczaństwa:

Emilia Blochowa	rs. 1000	rocznie,
Leopold bar. Kronenberg	„ 1000	„
Hipolit Wawelberg	„ 1000	„
Julian Fraget	„ 150	„
Maksymilian Claasen	„ 100	„
Józef Gardowski	100	„
Franciszek Karpiński	„ 100	„
Feliks Jasleński	„ 25	dożywotnio,
Bertold Levy	„ 100	jednorazowo.

Czyli: trzech rodowców złożyło 3,000 rb, a dziesięciu nierodowców 3,575 rb. — razem 6,575 rb. — co znowu znaczy: 1) że arystokracya bez swego mieszczańskiego pogotowia ratunkowego nie ruszyłaby z miejsca ciężaru uchwały „pałacu błękitnego“ i 2) że nawet z tą pomocą brak jeszcze 3,425 rb. rocznie do owych 10,000 rb. przyobiecanych „galeryi narodowej.“

A propos. Czy to prawda, że jedna kokota w dobrym kursie otrzymuje rocznie więcej?

Konferencye literackie.

Piękna i pożyteczna forma rozrywki towarzyskiej, konferencye literackie, zyskują coraz większe uznanie i powodzenie. W pogawędkach tych biorą udział siły literackie różnej wielkości i mocy, ich zaś rozprawy i rozprawki a także zapowiedzi programu odbijają się echem w prasie. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby to echo odpowiadało mierze głosu. Rzecz jednak ma się odwrotnie. W dość obszernej izbie naszej prasy jest jeden kąt, w którym echo odtwarza głosy wbrew prawom fizycznym. Im głos mocniejszy, tem echo jest słabsze i krótsze; im bardziej nikły i słaby, tem donioślejsze i dłuższe. Kątem tym jest *Kuryer warszawski*, środkiem zaś, wywołującym echa wbrew prawom fizycznym — towarzystwo wzajemnej adoracyi. Oto dwa przykłady: Echo słabe i krótkie: „Jutro odbędzie się konferencya literacka. Mówić ma p. Ignacy Matuszewski albo — p. Chrzanowski.“ Echo doniosłe i długie: „Jutro w sali Towarzystwa wioślarskiego odbędzie się konferencya literacka. Weźmie w niej udział p. Ignacy Grabowski i wypowie swój pogląd na twórczość Rostanda, tyle sławnego u nas z powodu sztuk, wystawionych w teatrze: „Cyrano de Bergerac“ i „Romantycznych.“ O przekład „Romantycznych“ (właściwie „Rozromansowanych“) toczy się spór do dnia dzisiejszego, podtrzymywany przez tłomacza, nader zadowolonego z przekładu. Słynny protest p. Frenkla i kolegów przeciwko krytyce teatralnej powstał, jak wiadomo, z powodu wykonania tejże sztuki. Niechże p. Grabowski ma ostatnie słowo!“ Ostatnie słowo zwykle wypowiadają najpoważniejsi, najwytrawniejsi krytycy. *Kuryer warszawski* na to stanowisko wyjątkowo wprowadził p. Grabowskiego. Wątpimy, czy będzie on wdzięczny swoim przyjaciołom za taką usługę. Nie będą zapewne wdzięczni i organizatorowie konferencyj literackich za tę reklamę nieprzyzwoitą.

Przykre wrażenie.

Przed paru tygodniami ogłoszono upadłość właścicielom kolei Grójeckiej, pp. Hussowi i Rodysowi. Obu tych panów znamy zaledwie z nazwisk, o ich interesach nie mamy żadnego pojęcia, mimo to nie możemy ukryć przykrego wrażenia, jakie na nas — a z pewnością nietylko na nas — sprawiła ta wiadomość, zwłaszcza w odniesieniu do p. Hussa. Człowiek ten był jednym z najruchliwszych i najbardziej pomysłowych u nas przedsiębiorców. On pierwszy podjął myśl urządzenia wązkotorowych kolejek podmiejskich, on uzyskał koncesyę na pierwszą linię do Wilanowa, on przeprowadził mozolne układy z właścicielami gruntów, on borykał się przez wiele lat z przeciwnościami spółki, ktora dostarczyła kapitału, on również posunął arteryę komunikacyjną dalej, po za Wilanów — i dziś ten ojciec kolejek podjazdowych, rozpościerających swą sieć po całym kraju, jest ogłoszony bankrutem — zrujnowany i zniesławiony. Być może, iż zawinił nieoględnością, ale również wydaje się prawdopodobnem, że nie oszukiwał, nie wyzyskiwał, nie toczył koła swych losów po tej błotnistej drodze, po której zwykle jeździ geszeft szczęśliwy i zwycięzki. Trzymając się tej drogi, chyba uniknąłby upadłości.

Sprawa pobytników.

Przestępcy kryminalni, po odsiedzeniu kary, bywają internowani pod nadzorem policyjnym w pewnych miejscowościach jako tak zwani pobytnicy. Przysługuje im prawo obrania okolicy. Zwykle zamieszkują w miastach lub miasteczkach na zbiegu szos, gdzie ruch jest większy i łatwiejsza styczność z podróżującymi, a raczej z ich kuferkami. Nadzór winien uniemożliwić im kradzież, a otaczające zdrowe społeczeństwo pociągnąć do pracy i uszlachetnić. Lecz rzeczywistość wydaje inne zgoła owoce, o poprawie pobytników niema mowy, a tymczasem otoczenie ponosi wielkie straty moralne i materyalne.

Echa płockie i łomżyńskie przytaczają w tym względzie ciekawe fakty, zaczerpnięte nie z teoryi, ale bezpośrednio z życia. Pozwolimy sobie przytoczyć w całości dość znaczy ustęp z tego artykułu.

„Nadzór policyjny w połączeniu ze złodziejskimi paszportami, daje pobytnikom takie wyraźne piętno złodziejstwa, że żaden spokojny człowiek za nic nie przyjmie do służby, ani do roboty niewątpliwego złodzieja, obawiając się, by go ten nie okradł. Następstwem tego jest niemożność zarobkowania. Nie mając się z czego utrzymać, musi się wziąć do żebraniny i złodziejstwa nawet z konieczności. Jeden i drugi

ten proceder jest im przez prawo zabroniony. Ponieważ jednak praktyka sądowa wykazuje, iż żebraniny dowieść jest dużo łatwiej, niż złodziejstwa i wobec tego, że daje ono wiele mniej dochodu, więc pobytnik kradnie na potęgę, lub pośredniczy w rozmaitych sztukach złodziejskich. Tym sposobem pobytnicy stają się plagą całej okolicy. Praca tedy, praktycznie rzecz biorąc, jako sposób zarobkowania, jest dla nich zamknięta, o dobroczynnem więc oddziaływaniu jej mowy być nie może. Korzyści zaś, jakie wypływać miały ze stykania się ze zdrowemi warstwami społecznemi, również nie istnieją, porządni ludzie bowiem z wyraźnemi złoczyńcami obcować nie chcą. Stają się natomiast pobytnicy środowiskiem, naokoło którego skupiają się jednostki wykolejone, lub słabe moralnie. W ten sposób powstaje szkoła złodziejska.

„Jeżeli przytem weźmiemy pod uwagę, że § 49 i 51 dostarczają pewnej kategoryi ludzi, którzy zasłużyli na karę, nie tyle z powodu złych skłonności, ile skutkiem gwałtowności natury np. zabójstwo w kłótni, bez premedytacyi, lub kradzież przy okolicznościach szczególnych i jeżeli uprzytomnimy sobie, że te jednostki moralnie jeszcze nie umarły, że mogą w nich żyć jakieś szlachetniejsze dążenia, chęć poprawy i że tym sposobem zamykamy przed nimi przyszłość, zmuszając ich niejako do złodziejstwa, to przedstawi się naszym oczom obraz nieszczęścia, do którego nie chciałby przyłożyć ręki żaden uczciwy człowiek.

„Dozór policyjny w tych warunkach występuje na tle naszych stosunków nie jako kara za popełnione przestępstwa, nie jako sposób naprawy tych ludzi, ale jako wrzód społeczny, który należałoby szybko zoperować, by nie zarażał organizmu.

„Nie piętnując ich znamionami złodziejstwa, pozwolić im samym zapomnieć o złych uczynkach, które spełnili, i naprawę ich (złoczyńców) pozostawić sile, żywotności samego społeczeństwa. Prędzej ono wessie w swój organizm pojedyncze, odosobnione indywidua, niż całe zorganizowane zbiorowiska.“

BADANIA NAUKOWE.

TYPY ZAWODOWE.

(Z powodu książki **Alfreda** Bineta: *La suggestibilité*. str. 391. Paryż, 1900, u braci Schleicher).

Są typy, z natury swojej rozkazodawcze, inne — uległe i posłuszne. Pierwsze są urodzonymi przewodnikami gromady, niekiedy inicyatorami zdarzeń dziejowych i organizatorami, drugie dostarczają zastępu, który idzie za rozkazem urodzonych „panów“ i kierowników.

„Ulegać głosowi innych lub narzucać im swoją powagę, oto kwestya, która staje przed każdym z nas: powodzenie i karyera zależą od tego. Rzec możemy, iż typy, narzucające innym swoją powagę — jeśli pozostałe warunki pozostają te same, a więc jeśli wrogi los, niewłaściwe postępowanie itd. nie staną w poprzek ich drogi — posiadają więcej widoków osiągnięcia czegoś w życiu, niż typy podatne. Niewiele osób zdołalibyśmy wymienić, które znalazły się na wysokiem stanowisku pomimo braku umiejętności narzucania swojej władzy innym. Umiejętność ta może zastąpić wszelkie inne przymioty umysłowe. Kogo bowiem słuchamy w gronie towarzyskiem? Nie rozumniejszego i wiedzącego rzeczy najciekawsze, ale tego, który odznacza się największym wpływem rozkazodawczym, którego wzrok zdradza wolę, a którego mowa, pełna, dźwięczna zwolna wygłasza zdania nieokreślonej treści, a inni z poszanowaniem ulegają jej jałowości. Dla świadka, siedzącego na uboczu, pocieszną jest rzeczą rozważanie rozmowy pięciu lub sześciu osób, w której on sam nie uczestniczy. Odrazu spostrzeże, kto wywiera tam wpływ: ten, kto prowadzi rozmowę, nadaje jej bieg, narzuca swe przekonania, rozwija swe poglądy: niekiedy spór wybucha, a ktoś inny w pewnej kwestyi bierze górę i zmusza innych do słuchania siebie. Nowy przybysz może zupełnie zmienić stosunek wzajemny sił, bo, rzecz dziwna, władza wywierana jest przymiotem względnym: osoba *A* narzuca *B*, *B* wpływa na *C*, *C* zaś trzyma na wodzy *A*... Sposób potwierdzania czegoś, ton głosu, nawet zwroty gramatyczne znamionują tego, co wpływ wywiera.“

Powyższy ustęp, zaczerpnięty z nowej pracy psychologa francuskiego, A. Bineta, daje jakkolwiek nie zupełnie wyczerpujące, jednak dość jasne pojęcie o przeciwieństwie pomiędzy typem rozkazodawczym, a raczej wywierającym wpływ przygniatający — *le type autoritaire*, jak mówią Francuzi — a typami podatnymi, łatwo poddającymi się suggestyi. Różnica pomiędzy nimi ujawnia się w okresie pierwotnym w sposób dość charakterystyczny. „Istnieją środki magiczne („medycyna“), dające wodzom siłę i przytomność ducha, a pospolity plemieniec, niebędący ani wodzem, ani znachorem, nie ma prawa dotknąć się tej medycyny. Ktokolwiekbądź z otoczenia wodza znajdzie się w posiadaniu tych środków, zginąć musi... Wódz czuje człowieka, rozporządzającego potężną medycyną: kiedy taka osoba znajduje się koło niego, przygniata wodza“ [1]). Powstaje więc u Kafrów hierarchia typów rozkazodawczych równoległa hierarchii w organizacyi politycznej. W społeczeństwach cywilizowanych, skutkiem większego rozwoju czynników ubocznych, którym przyjrzymy się niebawem, stosunek wzajemny typów rozkazodawczych i uległych staje się bardziej złożonym, ale w każdym razie, jak słusznie zaznacza A. Binet, rzadko która z osób, która utorowała sobie drogę do najwyższych stanowisk, grzeszy brakiem wrodzonego autorytetu. Indywidualność Napoleona I i stosunek jego do otoczenia nawet w pierwszym okresie tej tak wyjątkowej karyery dostarczają przewybornego wzoru wrodzonej siły ducha. Pozwolimy sobie przytoczyć ustęp z sylwetki małego kaprala, skreślonej przez H. Taine'a [2]). Ostre rysy twarzy, uwydatnione jeszcze silnym kontrastem światła i cieni, wystające kości policzkowe, duży i naprzód wysunięty podbródek, wargi zaciśnięte i ruchliwe, głęboko osadzone oczy, ocienione szerokimi łukami ciemnych brwi, głębokie i przenikliwe spojrzenie, wreszcie dwie zmarszczki, biegnące wzdłuż czoła, nadają twarzy jego wyraz niezłomnej woli i tłumionego gniewu.“ Dodajmy nadto ostry dźwięk głosu, nerwowe i gwałtowne ruchy, ton nakazujący, bezwzględny, a zrozumiemy, dlaczego każdy, kto się zbliżył do niego, drżał z trwogi przed tym człowiekiem, którego uścisk dłoni powalał na ziemię.“ Bonaparte przygniatał obecnych nawet, kiedy myśl jego może nie zabiegała tak daleko, ażeby marzyć o konsulacie. Mianowany generałem armii włoskiej, miał przejeżdżać przez Tulon. Admirał Decres pisze z tego powodu: „Powołując się z dumą na dawny nasz stosunek, obiecuję kolegom, że ich przedstawię Napoleonowi, biegnę pełen uniesienia i radości, widzę go we drzwiach salonu, pałam chęcią rzucenia mu się na szyję... i nagle staję jak wryty, pod wrażeniem jego spojrzenia, dźwięku głosu i sztywności jego postawy. Nie mogę mu wprawdzie zarzucić niegrzeczności w obejściu, ale to było wystarczającem: od tej chwili nie próbowałem już nigdy przekroczyć przepaści, oddzielającej nas od siebie.“ W kilka dni potem Augereau, bohaterski, lecz nieokrzesany wojak, dumny z olbrzymiego wzrostu i nieustraszonego męztwa, oraz inni generałowie dywizyi, przybywają do głównej kwatery, niechętnie usposobieni dla „młodego dorobkiewicza,“ przysłanego im z Paryża. Znając już Napoleona ze słyszenia, Augereau wchodzi z zamiarem stawiania się hardo i niesłuchania jego rozporządzeń. Przybyli czekają czas jakiś na Bonapartego, który, ukazawszy się wreszcie, przypasuje szablę, nakrywa głowę, w krótkich słowach objaśnia wydane już poprzednio rozporządzenia, daje nowe rozkazy i odprawia generałów. Przez cały czas Augereau nic powiedział ani jednego słowa, na ulicy dopiero odzyskuje pewność siebie, obraża zwierzchnika grubiańskimi wyrazami i wyznaje kolegom, że „zląkł się tego małego generała i oniemiał na jego widok.“ W tym okresie późniejszy cesarz nie wywierał jeszcze moralnego wpływu swoimi czynami i zajmowanem stanowiskiem, działał on tylko przymiotami ducha swego, wzmocnionymi przez rysy twarzy, postawę, giesty. A jeśli typy rozkazodawcze zajmują stanowisko przodujące w hierarchii społecznej, natomiast tam, gdzie wymaganem jest ślepe posłuszeństwo, skupiają się typy z urodzenia podatno, a warunki, w jakich się znalazły, jeszcze bardziej ćwiczą tę wrodzoną cechę charakteru. Dr. Bernheim znalazł, iż do liczby osób, najbardziej podatnych na uśpienie hypnotyczne, należą nie kobiety nerwowe, ale dawni wojskowi, dawni urzędnicy administracyjni, słowem ci, którzy zostali wdrożeni i przyzwyczajeni do ślepej karności i posłuszeństwa, a mogli być wdrożeni, ponieważ z natury swojej byli podatni na takie bodźce zewnętrzne.

Próbowano parokrotnie dać schemat klasyfikacyjny typów, rozważanych z punktu podatności. Między innemi do prób tego rodzaju może być zaliczona klasyfikacya Lapouge'a umysłów na inicyatorskie, na niesamodzielne, ale zdolne natychmiast zrozumieć nową ideję, na uzdolnione, ale obdarzone instynktami trzodowymi i tylko wtedy stojące po stronie pewnej idei, kiedy ta zwycięża, wreszcie na niezdolne nawet do przyjęcia tresury umysłowej. Ale pamiętajmy o tem, że inicyatywa nie odpowiada wrodzonej zdolności narzucania autorytetu, klasyfikacya zaś Lapouge'a, licząca punkty styczne z hierarchią wrodzonej podatności i panowania, rozmieszcza typy, istniejące w gromadzie ludzkiej z innego nieco stanowiska. Naszemu celowi odpowiada już bardziej próba Tissié'go, który na podstawie studyów nad ujeżdżaniem zwierząt, wyróżnił okazy *automatyczne*, wzory ślepego posłuszeństwa, poddające się biernie i zupełnie; *uczuciowe*, które można nagiąć do posłuszeństwa oddziaływając na ich stronę uczuciową; wreszcie *czynne*, posiadające wyraźną osobowość, na które, gdy chcemy wpływać, musimy obierać drogę okólną fortelów, np. zmuszać je do tego, co jest sprzeczne z rzeczywistym zamiarem ujeżdżającego, a one przez upór zrobią to, co jest właśnie ukrytym, a rzeczywistym jego celem. Binet do nich dodaje jeszcze upartych, niepoddających się żadnej karności i jego zdaniem przedstawiających w znacznej części okazy zwyrodnienia. Zresztą hierarchia typów ludzkich ze względu na wrodzony autorytet i podatność bynajmniej nie jest rzeczą łatwą, gdy prócz składników wrodzonych wpływ wywierają inne, wynikające z idei, które są nam właściwe, wpojonych uczuć, pozycyi społecznej, wiedzy fachowej i t. d., — w ogóle z mnóstwa czynników natury moralnej, a raczej społecznej. Tem to można wytłomaczyć ów fakt, iż osoba *A* przygniata obecnością swoją osobę *B*, *B* wywiera taki sam wpływ na *C*, natomiast *A* znajduje

[1]) Callaway: *The religios system of Amazulu*, 1870, str. 417.

[2]) H. Taine: *Napoleon Bonaparte*, Warszawa, 1892, str. 20—22.

się pod władzą tej ostatniej. W rzeczy samej, dość przypuścić, iż A i B są głęboko religijni, B zaś wolnomyślny, albo iż A i C służą w tym samym zawodzie ale zajmują odmienne pozycye, a już otrzymamy zupełne wyjaśnienie tej, tak na pozór dziwnej zagadki, którą zresztą w wielu przypadkach można wyprowadzić z natury duchowej osób, wchodzących w skład takiego łańcucha.

Powaga, jaką ktoś wywiera na otoczenie, może wypływać z bardzo różnorodnych powodów i przedstawiać liczne poddziały i różnice. „Każda jednostka — pisze A. Binet — jest siłą moralną niejednakowego napięcia. Siła ta przedewszystkiem zależy od tego, co „wpływający“ wie o tym, na którego oddziaływa, od stanowiska urzędowego, stanu majątkowego, przeszłości, itd.; dalej trzeba wziąść pod uwagę osobistość fizyczną, rozwój fizyczny, zręczność, siłę mięśni, ton głosu. Należy także uwzględnić energię moralną, wolę, umiejętność postępowania. Są to rzeczy, odgrywające rolę pierwszorzędnej doniosłości w karyerze większości osób, chociaż pospolicie nadajemy im najmniejsze znaczenie, bo pod względem posiadanej energii moralnej nie bywamy egzaminowani, ta jednak jest co najmniej tak samo potrzebna wielu osobnikom, np. wojskowym, jak wiedza techniczna. W liczbie przymiotów, po których poznajemy, czy ktoś jest silny lub słaby duchem, na jeden zwłaszcza położę nacisk, na wzrok, a raczej na umiejętność uporczywego spoglądania innym w oczy. Cieszący się wpływem moralnym według moich spostrzeżeń, zawsze są obdarzeni tym przymiotem.“

Tyle co do typów rozkazodawczych. Ale i zastęp typów podatnych bynajmniej nie przedstawia jednolitości. Prócz pobudek moralnych, które częściowo wyszczególniliśmy w powyższem przedstawieniu, istnieje tam podłoże wrodzone, dość różnorodne pod względem pierwiastków składowych. A zatem jest tam uległość wpływom przychodzącym w dosłownem znaczeniu słowa od osoby trzeciej. Osoba tego rodzaju traci pewność siebie i wyrzeka się własnego zdania, albo nawet spostrzega nie to, co dotychczas widziała i co widziałaby, o ile nieznalazłaby zapewnienia osoby trzeciej, w sposób stanowczy wyrażającej inne przekonanie. Istnieje automatyzm, który, łącząc się zwykle z podatnością, zawiera własne pierwiastki, a mianowicie skłonność organiczną do prawidłowego powtarzania pewnego odruchu, wówczas gdy specyalna podatność może odznaczać się nawet zupełną nieprawidłowością, t. j. właśnie nieobecnością pierwiastków automatycznych. I popęd naśladowniczy, niekiedy pomieszany z pospolitą podatnością, przedstawia kategoryę odrębną: do naśladowczych należą natury, nieświadomie wystrzegające się wysiłków samodzielnego czynu i zwracające swoją działalność w kierunku wyładowania energii z najmniejszą pracą. Podatny czystej wody nie cofa się przed trudnością poddanej idei, chociażby wymagała największego wysiłku, umysł naśladowczy wybiera drogi, „najmniejszego oporu.“ Pierwiastki te odgrywają rozmaitą rolę w tworzeniu się zastępu uległych typów gromady społecznej i wchodzą w rozmaitym stopniu napięcia i stosunku ilościowego, w skład duchowości indywidualnej. A. Binet w swem ostatniem dziele poddał analizie właśnie obrachowanie napięcia podatności właściwej, spotykanej u wielu osób. Poszukiwania nad tym przedmiotem wchodzą już w zakres właściwej psychologii i dlatego nie będziemy mu towarzyszyli w dalszej wędrówce, poprzestając na wyzyskaniu jego książki o tyle, o ile rzuca światło na realizacyę społeczną pierwiastków, które poddał analizie.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Michał Wiszniewski

I PUŚCIZNA PO NIM.

II.

Nim zaznajomię czytelników, choć pobieżnie, z zawartością wielce ciekawych rękopisów autora „Historyi literatury polskiej“, wymienię tu nasamprzód, po kolei jak wychodziły, dzieła jego, ogłoszone drukiem w języku polskim.

Pierwszą Wiszniewskiego pracą drukowaną jest *Pamiątka po dobrym ojcu*, wyszła bezimiennie w niefortunnej przeróbce Teodozego Sierocińskiego w r. 1825. Książkę swoją Wiszn. przeznaczył dla 18-letniego młodzieńca. Poraz pierwszy w pierwotnej postaci wydał ją Wł. R. Korotyński w r. 1897. Poucza w niej Wiszn. wychowańca jak ma żyć, kładąc wszędzie szczególny nacisk na samodzielność umysłu i czynów. Następnie ukazała się w r. 1834 *Bakona metoda tłumaczenia natury*, w której poraz pierwszy u nas Wiszn. dał jasny wykład metody indukcyjnej. Trzeciem dziełem Wiszniewskiego są *Pomniki historyi i literatury polskiej* (1835—37); wydał tu rozprawy Czackiego oraz Kallimacha „Żywot Grzegorza z Sanoka“, poprzedziwszy to artykułem „O historyi wieków Piastowych i kronikarstwie polskiem przed Długoszem“. Potem poszły słynne *Charaktery rozumów ludzkich* (1837) [1]. W latach 1840—45 wydał 7 tomów swej znakomitej *Historyi literatury polskiej*; tom 8-my, do którego przyłożył jeszcze sam ręki, ukazał się w r. 1851; tomy 9-ty i 10-ty wydano bez wiedzy i zgody autora w r. 1857. Ostatniemi pracami Wiszniewskiego, które wyszły jeszcze za jego życia, są: rzecz *O rozumie ludzkim, jego siłach, przymiotach i sposobach kształcenia*, napisana „dla pożytku kształcącej się młodzi płci obojej“ (1848), rzecz pokrewna „Filozofii umysłu ludzkiego“ Śniadeckiego, i — *Podróż do Włoch, Sycylii i Malty* (1848). Po śmierci wydano, o ile wiem, tylko trzy rzeczy: *Myśl o ukształceniu siebie samego* (1873), z dedykacyą: „Młodzieży tę książkę poświęca autor. Nizza. 29 września, 1862“; rozprawę *O systematach filozofii moralnej* (1888) i komedyę w 1-ym akcie p. t. *Plotki* (1888); jest to jedyna chyba praca belletrystyczna Wiszniewskiego. „Myśli“ wydał przyjaciel i biograf Wiszniewskiego, Ludwik Niesiołowski, ale niezbyt umiejętnie, wcielił tu bowiem jako osobne rozdziały dwa artykuły, nie mające związku z główną osnową dziełka: „O uformowaniu się Królestwa Włoskiego“ i „Garibaldi w Sycylii“; są to artykuły przygodne, pisane w r. 1861, zapewne jako korespondencye do czasopism. Ogłoszono nadto wyjątek z „Historyi jezuitów“ (1886). Po za tem ukazywały się w różnych czasach korespondencye i artykuły Wiszniewskiego w czasopismach polskich, angielskich i włoskich.

Wszechnica Jagiellońska, która się chlubi Wiszniewskim, przechowuje jego biust marmurowy i jedno z lektoryów na cześć byłego swego dziekana i profesora jego nazwiskiem przezwała, nie posiada w swej bibliotece nawet kompletu dzieł drukowanych autora „Historyi literatury polskiej“. Znajdujemy tu zato aż dwa egzemplarze nader rzadkiego dzieła Wiszniewskiego w języku angielskim, o którem wyżej wspomniałem. Są to *Sketches and characters or the Natural History of the Human Intellects. By James William Whitecross.* (London. Saunders and Otley, Conduit Street. 1853).

Te „Sketches and characters“—to terra ignota dla wszystkich piszących o Wiszniewskim. Jedni pomijają tę książkę, bo nic o niej nie wiedzą, inni podają bałamutne o niej wiadomości. Tak np. bezimienny biograf Wiszniewskiego w wydaniu „Charakterów“ warszawskiem z r. 1876, pomieszczonem w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej“, pisze: „napisał ją Wiszn. podobno pierwotnie w języku angielskim, lecz oryginał ten wydał dopiero później, w lat dwadzieścia i kilka (Londyn. 1862)“; w zdaniu tem niema ani źdźbła prawdy. p. Biegeleisen zaś uważa ją za przekład dziełka „O rozumie ludzkim“! (Zob. Złotą przędzę, t. II, 1885, str. 821). Jak widać, żaden z nich nie miał tej książki w ręku.

„Sketches and characters,“ to spora książka in 8-o, o 375 stronicach; składa się z 12-tu rozdziałów i jest przeróbką i rozszerzeniem polskich „Charakterów“, które wyłożył w 7-iu rozdziałach. Na ostatniej stronicy tekst urywa się kropkami z odsyłaczem: „Here the manuscript abruptly ends, as by some accident two whole leaves were torn away“. U dołu objaśnienie rękopiśmienne: „Takie niedokończenie umyślnie uskutecznił autor, aby nie poznali, że to cudzoziemiec pisał, jakoż żadna gazeta angielska nie odkryła Polaka (dawnego ucznia uniwersytetu Edymburskiego) pod tem wzorowem piórem angielskim“.

Na okładce wewnątrz są naklejone dwa wycinki z gazet francuskich; w jednym czytamy: „édition rarissime brûlée dans un incendie à Londres, Dean Street, à l'exception de 75 exemplaires. Après La Bruyère c'est le seul ouvrage qui traite avec profondeur les caractères de l'esprit humain, commençant par un crétin et allant jusqu'au génie“.

W obu egzemplarzach dzieła wklejono wiersz francuski drukowany na kartce formatu książki z napisem: „A Michel Prince Wiszniewski, auteur de Sketches and Characters“, podpisany: „A. Dabadie. Nice. Carabacel, juin 1860“; zaczyna się tak:

„Plongeant dans un puits de science
Votre plume, avec sapience,
Vous esquissez les traits divers
De notre intelligence humaine
Et Votre livre nous promene..“ i t. d.

Rękopis własnoręczny znajduje się w bibliotece Ossolińskich we Lwowie. U dołu ostatniej stronicy rękopisu jest dopisek autora następujący: „Pierwotny rękopis [2]) dzieła w języku angielskim napisanego w Genui od 1850 do 1853, a wydanego w Londynie 1853 p. t. „Natural history of human intellects“. Już to będzie podobno ostatnia książka, którą w życiu mojem napisałem. Bywajcie zdrowi i szczęśliwi, kochane dzieci. Michał Wiszniewski“. U góry przypisek ołówkiem: „Wydawca pisze: Lord Brougham odwiedził mnie zaraz po wydaniu tego dzieła i zapytał, kto jest jego autorem, albowiem znalazł to dzieło nadzwyczaj ciekawe i interesujące, a very curious and interesting book“. Skądinąd wiadomo, że Anglicy cenili szczególnie rozdziały o geniuszu i charakterze rozmaitych narodów, uważając ocenę charakteru anglo-amerykańskiego za bardzo trafną. Sam Wiszniewski pisze jeszcze o swem dziele w przedmowie do niewydanego „Słownika polsko-angielskiego“ (o którym

[1]) Uczony ale ekscentryczny biskup Ludwik Łętowski ogłosił w r. 1847 bezimiennie rozprawę p. t. „Nauka poznawania ludzi z uwagi na dobro towarzystwa, poprzedzona odpowiedzią na „Charaktery rozumów ludzkich“ M. Wiszniew. Większą część tej książki zajmuje rozbiór dzieła Wisz. i polemika z nim.

[2]) Inny rękopis „Sketches“ przechowuje, według zapewnienia Sowińskiego (Kłosy. 1877, II), biblioteka uniwersytetu w Edymburgu; jest to zapewne ten, z którego uskuteczniono druk.

niżej) co następuje: „Jako dawny uczeń uniwersytetu edymburskiego chciałem wypróbować moich zdolności w języku angielskim i wziąłem się do napisania oryginalnie po angielsku „Charakteru rozumów ludzkich“, tak zmienionego i powiększonego, że do polskiej książki pod tym tytułem wydanej zupełnie niepodobne. Pisałem ten rękopis przez trzy lata (1850—1853). mieszkając w Sturli (w willi Brignole Sale nad morzem, na drodze z Genui do Spezzii) i wydałem w Londynie p. t. Sketches... pod pseudonimem Whitecross [1]) i wielkie było moje podziwienie, że krytycy nie poznali, że to cudzoziemiec napisał, owszem chwalili moją książkę ze stylu angielskiego“ [2]).

Przechodzę teraz do rękopisów Wiszniewskiego; złożone są w trzech miejscach: w bibliotekach: Ossolińskich we Lwowie i Jagiellońskiej w Krakowie i w archiwum Przeździeckich w Warszawie.

Kiedy się ogarnie całość tej puścizny pośmiertnej, trzeba podziwiać ogrom pracy i wielostronność umysłu tego niepospolitego uczonego.

W archiwum Przeździeckich znajdują się materyały do dalszych tomów „Historyi literatury polskiej“, oraz obszerna korespondencya naukowa z czasów krakowskich; część tej korespondencyi—listy różnych literatów i uczonych do Wiszniewgo [3]), dotyczące historyi literatury polskiej, wydane zostały w „Kronice Rodzinnej“ w r. 1886 i 1887. Z tych samych zbiorów ogłoszono tamże (1888) dwie ciekawe prace Wiszniewskiego: rozprawę, napisaną w r. 1820 w Paryżu, o której już wspominałem—*O systematach filozofii moralnej* i komedyę p. t. *Plotki*. W rozprawie W. rozbiera różne systematy etyczne, poczynając od greckich, a kończąc na szkockich. Komedyę „Plotki“ napisał w r. 1842, „dla siebie tylko“, jak sam w notatce objaśnia, „dla lepszego zrozumienia kunsztu dramatycznego“—a przygotował już wtedy zapewne rozprawę o rozwoju tego „kunsztu“ w Polsce w XVI w., którą pomieścił w t. 7-ym „Historyi literatury polskiej“ (1845).

Cały szereg dzieł Wiszniewskiego, przeważnie treści historycznej i filozoficznej, pozostaje w rękopisach; niektóre, przygotowane przez autora do druku, oczekują na wydawcę. Przejrzę je tylko tu pobieżnie po kolei, rozbiór ich szczegółowy i ocenę pozostawiając innym.

Więc najprzód 4-tomowa *Historya jezuitów*. Tom I, złożony przez syna autora, Adama Wiszniewskiego (ekonomistę) w bibliotece Ossolińskich, składa się z trzech rozdziałów, w których Wiszniewski skreślił przebieg życia i działalność założyciela zakonu Ignacego Loyoli, kończąc tę część opowiadaniem o zawiązku Towarzystwa. Życiorys Loyoli poprzedza w rozdziale pierwszym wstęp, w którym Wiszn. daje oryginalną charakterystykę jezuitów, w postaci zestawienia najróżnorodniejszych poglądów na nich i na ich działalność, w sposób umiejętny zaciekawiając czytelnika do dziejów zgromadzenia. Tłumaczy też, dlaczego podjął się tego dzieła: „Jezuici mieli obrońców albo oskarżycieli, ale historyka jeszcze nie znaleźli; temu to niedostatkowi, ile siły i wiek już podoszły wystarczą — zaradzić postanowiłem... Szczerej i bezstronnej prawdy taić przed ludźmi nie godzi się; boć historya nie jest oskarżeniem ani obroną, ale szczerem opowiadaniem tego, co i jak się działo i stało“. Wstęp poprzedza przedmowa w języku francuskim, p. t. „Notice de l'auteur“, zaczynająca się od słów: „Je me suis proposé de tracer dans ces trois livres l'histoire de l'origine, du progrès et de la chute de la Société des Jésuites“ i t. d„ która jest jakby streszczeniem wstępu i podpisana: „Nice. 22 decembre 1860. Michel Pr. Wiszniewski“. Poczem następuje długi spis źródeł historycznych, „skąd autor czerpał“; spis ten ciągnie się przez 9 stronic. Wstęp ogłoszony został w *Kraju* z r. 1886 (Nr. 14). Rękopis „Historyi jezuitów“ był już podobno, jeszcze za życia autora, lub wkrótce po jego śmierci, w rękach jednego z księgarzy warszawskich, ale ten widocznie nie odważył się go wydać.

Obszerny rękopis, składający się z 50 zeszytów in folio i in kwarto, przechowywany w Bibl. Jagiel., zawiera kurs *Historyi Powszechnej*, który służył Wiszniewskiemu do wykładów uniwersyteckich. Obejmuje dzieje starożytne, średniowieczne i nowożytne wszystkich państw europejskich i wschodnich; dzieje Polski opracowane były osobno, jak widać z notatki Wiszniewskiego („Polska— osobny seksternˮ), ale rękopisu w bibliotece brak. Na marginesach, przy pojedyńczych rozdziałach, notuje Wiszn. dokładnie, co do dnia i miesiąca, daty wykładów; jest tych dat nieraz po kilkanaście, jedna pod drugą, poczynając od r. 1834, kończąc r. 1847, skąd wniosek, że powtarzał swój kurs w tej postaci przez lat kilkanaście. Są jednak w niektórych miejscach daty daleko wcześniejsze, z lat 1818 i 1819, kiedy jeszcze nie był profesorem wszechnicy Jagiellońskiej (notatki: „skończyłem 24 lut. 1818“, „30 lipca 1819“); zdaje się więc, że kurs ten zaczął Wiszn. opracowywać jeszcze dawniej.

(D. n.)

G. Korbut.

LITERATURA NIEMIECKA.

•

SOBÓTKA.

(Nowy dramat Sudermanna).

Raz do roku, kiedy cała natura przyobleka się wspaniałą szatą nowego życia — w noc świętojańską potęgi pogaństwa budzą się z długiego snu, wychodzą ze swych kryjówek i przy świetle sobótek w zawrotnym tańcu śpiewają hymny tryumfalne na cześć niezmożonej siły Natury. A światła te padają także w nasze dusze — a wówczas wszystkie pragnienia niezaspokojone i uczucia uśpione budzą się na dnie duszy, zrywają pęta i wybuchają z szaloną siłą.

Ale noc mija... Ognie świętojańskie już pogasły i nic po sobie nie zostawiły— tylko zgliszcza... W duszach naszych znów spokój, popędy pogańskie znów ucichły, ukołysano do długiego snu...

Takie dusze właśnie, wybuchające z pierwotną siłą w noc świętojańską a gasnące razem z sobótkami — przedstawił nam Sudermann w ostatnim swym dramacie.

•

Rzecz dzieje się w Prusiech wschodnich — na Litwie — w domu Vogelreutera. Za cztery dni ma się odbyć ślub córki jego Trudy z Jerzym. Wszyscy się więc w domu krzątają — najbardziej Marikka, znajda, przybrana córka domu. Ale na twarzy wesołej zawsze Marikki dziś jakiś niezwykły smutek się maluje. Co się jej stało? Czy chora?.. Marikka na wszystkie czułe pytania odpowiada wymijająco. Jednemu tylko się zwierza — temu, który sercu jej jest najbliższym — Jerzemu. Oto ubiegłej nocy, wracając sama z kolei, została napadniętą przez jakąś starą żebraczkę — a w tej żebraczce poznała swą matkę. Daremnie ukrywali przed nią przybrani rodzice jej pochodzenie: dziś budzi się w głębi jej duszy świadomość sieroctwa. Tkliwość przybranych rodziców nie zdołała zagłuszyć w niej instynktów dziecięcych. Ale w uczucia swe Marikka nikogo nie wtajemnicza — wie o nich tylko Jerzy. Bo też w całym domu jedynie on i Marikka rozumieją się nawzajem. Dziwny los wspólny zbliżył ich do siebie.

W roku nieurodzaju, podczas głodu, znaleźli Vogelreuterowie na drodze starą Weszkalnenę, która wraz z dzieckiem u piersi rzuciła się pod wóz, szukając śmierci. Vogelreuterowie, którzy wówczas byli jeszcze bezdzietni — Truda urodziła się dopiero w trzy lata później— wzięli do siebie Marikkę i wychowali ją troskliwie; matkę zaś zaraz wypędzili, ponieważ kradła — a kiedy w kilka lat później znów się zjawiła, złowili ją na kradzieży i oddali w ręce żandarmeryi. Vogelreuterowie mieli więc spokój, a przed Marikką taili jej pochodzenie. Ale nagle na tym ciasnym horyzoncie wypłynęła znów stara Litwinka, niby upiór jakiś, niby zapowiedź tego, co ma nastąpić...

A i Jerzy nie zaznał dotąd szczęścia w życiu. W młodym wieku odumarł go ojciec, pozostawiając swemu szwagrowi długi honorowe do zapłacenia. Vogelreuter spłaca je, zabiera do swego domu osieroconego siostrzeńca i wychowuje. Odtąd Jerzy należy do rodziny Vogelreutera, a za cztery dni ma poprowadzić do ołtarza córkę jego, Trudę. Czy się z miłości z nią żeni? Nie. W głębi duszy kocha Marikkę. Przed czterema laty szalał za nią. Ale Marikka nie wierzyła w prawdę słów bogatego panicza i zimno go odprawiła. Zawiedziony w swych nadziejach prosił wreszcie o rękę Trudy, która go kocha szczerze naiwnem uczuciem. Przed kilku dniami jednak Marikka znalazła przypadkiem brulion jego z przed czterech lat, zapełniony wierszami, jej poświęconymi. I teraz dopiero, z poezyj, przekonywa się o prawdziwości tego, czemu w prozie codziennego życia wiary dać nie chciała. Teraz wie Marikka, że serce Jerzego do niej należy — do niej wyłącznie.

Więc też dziś, kiedy się budzą w niej dziwne uczucia i duszę jej szarpią, zwraca się do niego. Prosi go, by bez wiedzy rodziców sprowadził starą Litwinkę do mieszkania: pragnie ją zobaczyć. Raz w życiu chce poznać, co to matka, chce głowę swą położyć na jej piersi, wypłakać się przed nią i dać się popieścić — matce! Jerzy wzbrania się. Ale kiedy Marikka zaklina go na dawną jego miłość, ulega jej prośbom.

Marikka wyprawiła wszystkich z mieszkania: zostaje sama w pokoju i z zapartym oddechem oczekuje matki. Jerzy ją sprowadza. Stara Weszkalnena słyszała, że Vogelreuter wyprawia wesele. To pewnie jej córka wychodzi za mąż... Więc i ją proszą. Podczas rozmowy, gdy Marikka odwraca się, stara kradnie w fartuch, co tylko jej wpada pod rękę. Marikka to spostrzega. Daje jej pieniędzy i odprawia ją. Ból ściska jej serce. Jej matka jest zwyczajną złodziejką... Więc ona nikogo już nie ma na świecie!.. Samotna!.. Ale jest Jerzy: do niego się tuli. Nagle jednak wyrywa mu się i wybucha krzykiem: „Odejdź! Błagam cię, Jerzy, odejdź! Jeśli mną nie gardzisz, to odejdź!“ W spazmatycznym płaczu tłumi swój ból...

Dusze ich jeszcze się nie znalazły.

Następnej nocy zapalają na okolicznych pagórkach sobótki. W pokoju Jerzy i Marikka... Noc cicha, milcząca. Blado światło księżyca owija w srebrne sieci pajęcze świat, cichy wietrzyk dreszczem miłosnym przejmuje całą naturę i szumi po liściach i gałęziach... W taką noc czarowną dusze tułacze obojga „dzieci niedoli“ wybuchają płomieniem namiętności, jak

---

[1]) Whitecross=Biały krzyż, herb Prus Wiszniewskich.

[2]) Ciekawy jest też list pisany przez Wiszn. w r. 1850 do Waleryana Krasińskiego, w sprawie tej książki—ogłoszony przez Niesiołowskiego w życiorysie Wisz.

[3]) Są tu listy Tyt. Działyńskiego, Łukaszewicza, Libelta, Trentowskiego, A. E. Koźmiana, Tyszyńskiego, Gołębiowskiego, A. Wagi i innych; pomiędzy niemi jeden list Wiszniewskiego.

owe ognie świętojańskie płoną żarem i łączą się w gorącym uścisku...

Noc świętojańska daje im to, czego im całe życie dotąd nie dało: jedną chwilę szczęścia.

Jerzy. Marikko, moja kochana — ty moja (Całuje ją).

Marikka. Tak, jeszcze raz! Widzisz, jaka ja... Nic mam nie do stracenia. Wszystko mi wolno, co tylko zechcę. Dziś noc świętojańska!

Jerzy. Ognie już pogasły.

Marikka. Nie, niechaj płoną! Niechaj płoną!

. . . .

Ale ognie pogasły, noc świętojańska minęła. Cóż poczną teraz?

Spodziewaliśmy się tylko jednego wyjścia: Gorący ogień ich namiętności pochłonie oboje — z płonącym statkiem swego życia popłyną w noc, w ciemną, nieskończoną noc, której świt nigdy nie rozwidni — a z gorejących masztów zabrzmi jeszcze ostatni okrzyk szczęścia — zwycięzki hymn miłości, wszystkie pęta zrywającej...

Tymczasem dramat inaczej się kończy. Ognie świętojańskie pozostawiły tylko zgliszcza. Ostatni akt dzieje się na godzinę przed ślubem Jerzego z Trudą. Jerzy chce jeszcze w ostatniej chwili wszystko zerwać. Ale Marikka sprzeciwia się. Byłby to szalony krok! Wszak oboje tyle są winni Vogelreuterom — a teraz mieliby się w ten sposób im odwdzięczyć?.. Nic! życie ich dalsze byłoby jednem pasmem wyrzutów... W życiu szczęścia dwa razy zaznać nie możemy. Szczęśliwy, kto go raz zaznał! Więc Marikka pójdzie w świat, rzuci się na bruk berliński — a Jerzego już oto wołają, by podał ramię swej narzeczonej, bo już czas do ślubu...

*

Czy dramat skończony? Nie, to dopiero początek tragedyi — okropnej tragedyi życia, pełnej walk wewnętrznych i wiecznej szarpaniny... Z jednej strony tragedya człowieka uginającego kark pod jarzmo obowiązków, z drugiej strony tragedya kobiety, która szczęście ma już po za sobą, a przed sobą — kto wie co?

Sudermann tej tragedyi dotąd nam nie dał.

Gdyby Ibsen miał dramat ten napisać, zacząłby go z pewnością tam, gdzie Sudermann kończy, albo może trochę później, w jakiś czas po ślubie Jerzego z Trudą. Cały dramat Sudermanna należałby do przeszłości — stanowiłby niejako wstęp do właściwej sztuki. Ibsen dałby nam tragiczny wariant do owych żartem wypowiedzianych słów Nory w scenie z doktorem Rankem: „Widzisz, doktorze, tak zwykle bywa: jednego *kochamy*, a za drugiego *wychodzimy*...“

Ale poprzestańmy na tem, co nam dał Sudermann. A rozwinął on w swym dramacie niezwykłą siłę, wlał weń tyle piękna, tyle prawdziwej poezyi, ile w żadnej sztuce poprzedniej nie znajdujemy. Podziwiać musimy świetną kompozycyę, zręczność zmieniania nastrojów, niezwykłą plastyczność postaci — zalety, któremi Sudermann - technik dramatyczny we wszystkich swych utworach się odznacza. W *Sobótce* dał nam poeta prócz tego dwa światy, wspaniale naszkicowany kontrast rasowy: z jednej strony dusza germańska, ciągle rozumująca, licząca się ze względami wszelakiego rodzaju i sama pod nimi się uginająca, z drugiej zaś — uciskana, gnębiona, ale właśnie dlatego z żywiołową siłą wybuchająca dusza litewska. Dał nam poeta wszystkie skale uczucia: od prostej, naiwnej ale szczerej miłości *backfischa* niemieckiego, aż do namiętności gorącej, w szale wszystko za sobą porywającej.

Na Sudermannie sprawdziły się słowa Piotra Altenberga: Pierwszym warunkiem prawdziwego poety jest znać granice swej siły twórczej. Ale Sudermann chciał je przekroczyć. Pozazdrościł Hauptmannowi laurów za *Dzwon zatopiony* i nie oceniwszy dostatecznie charakteru swej własnej poezyi, dał się unieść szałowi romantycznemu — bo dla Sudermanna *był* to *szał* — zagłębił się w symbole i przeładował nimi swój dramat przedostatni, *Czaple pióra* („Die drei Reiherfedern“), który właśnie dlatego jest zupełnie chybiony.

Sudermann nie stracił jednak równowagi. Wrócił na tę ziemię, z której dotąd tyle wspaniałych obrazów wydobył — a z kraju romantycznego przyniósł sobie to, czego poprzednim utworom jego brakowało: lekką szatę poetycznego symbolizmu, w który przyoblekł ostatni swój dramat i który stanowi istotny i szczególny czar sztuki.

W Sudermannie cenili̇śmy dotąd tylko niezwykłego technika dramatycznego, odtwarzającego życie współczesne takiem, jakiem w rzeczywistości jest. Dziś autor *Honoru* nie zadawala się już suchym realizmem: przekonał się, że prawdziwe dzieło sztuki musi się wznieść po nad codzienne życie, musi być owiane tchnieniem wieczności. W *Sobótce* po raz pierwszy pokazał, że jest nietylko znawcą sceny, ale także *poetą* — dał nam *dramat realistyczny z podkładem symbolicznym*.

J. Fraenkel.

SPRAWY EKONOMICZNE

Zabory i tryumfy przemysłu teutońskiego.

II.

Drugi Sedan.

Jeszcze nie przebrzmiało echo sensacyi, jaką wywołał sygnał alarmowy Williamsa, gdy po tej stronie kanału rozległ się rozpaczliwy okrzyk francuskiej Kasandry, przepowiadającej swym rodakom drugi Sedan, tem groźniejszy, iż ekonomiczny a więc mogący podważyć dobrobyt całej ludności. Tą złowieszczą wróżką był dziennikarz nazwiskiem Schwob a jego sybillińskie księgi zwały się „Le danger allemand.“ „Myśmy dotychczas nie zrozumieli jeszcze — pisał Schwob we wstępie swej obszernej pracy, że od 10-ciu lat narodził się straszny rywal na wszystkich rynkach świata i że wyciąga swe ręce, chcąc je wszystkie połknąć. Trzeba zakląć naszych kupców i przemysłowców, aby się zebrali i radzili, jeżeli nie mamy być osaczeni i doznać klęski gruntowniejszej i ostateczniejszej od naszej porażki w owych latach paniki. Nie łudźmy się: Niemcy pocichu stworzyli armię handlowo-przemysłową nie mniej potężną, niż ich armia wojenna w 1870 r. Nastąpiła chwila, kiedy powinniśmy zrozumieć, iż w walce o byt odgrywa dziś pierwszą rolę wiedza.... Oprócz nauki żyje w Niemczech jeszcze inna siła, z której powinniśmy zdać sobie sprawę i której nam brak: jest to zmysł zrzeszania się.“

Już tu widzimy, jak ze smutkiem nad upadkiem własnego narodu łączy się u autora zachwyt dla niemieckiej energii, nauki i zwyczaju trzymania się ławą. Gdziekolwiek rzucimy spojrzenie, na każdym kroku dostrzegamy, zdaniem autora, jak Niemiec, nawet wtedy, gdy ucieka się do pomocy państwa, nie składa rąk ani zasypia gruszek w popiele. We Francyi przeciwnie ani rząd, ani społeczeństwo nie stoją na straży interesów ogółu. Gdy rząd francuski zdobywa się na wprowadzenie taryfy celnej dla obrony przemysłu, czyni to dorywczo, nie systematycznie. Przemysłowcy zaufawszy ustalonej taryfie nie troszczą się więcej ani o jej losy, ani o nowe traktaty handlowe. Jakżeż inaczej w Niemczech! Niemcy okazali się niedoścignionymi mistrzami w zawieraniu umów handlowych z sąsiadami i ciągłem przystosowywaniu taryfy celnej do warunków. Francuzom, zajętym polityką, szkoda czasu na tego rodzaju bagatele. Gdy zachodzi potrzeba obmyślenia środków ratunkowych i zbudowania tamy przeciwko fali germańskiego handlu, wtedy właśnie ministeryum zamyka parlament ze względów politycznych. Niekiedy mijają lata, nim dochodzi do skutku najbłahsza ustawa przemysłowa. Niemcy tymczasem zbroją się nieustannie i to przy współdziałaniu grup przemysłowo-handlowych i rządu. Tu Schwob opisuje, jak rząd idzie ręka w rękę z przemysłem, gdy chodzi o zdobycie rynków, jak jednak ta protekcya rządu nie demoralizuje i nie usypia czujności przemysłowców. Przyjrzyjmy się niektórym instytucyom „zaborczym“ handlu niemieckiego. Przedewszystkiem zasługują na uwagę t. zw. wystawy pływające. Stowarzyszenie przemysłowców najmuje specyalny okręt dla podróży naokoło świata. Okręt ten, mieszczący w sobie całą wystawę produktów pewnej gałęzi, zwiedza jeden port za drugim według z góry ułożonej marszruty. Sporządzenie wystawy jest prawdziwem arcydziełem, albowiem z zadziwiającą drobiazgowością uwzględniono zwyczaje i potrzeby zwiedzanych miejscowości. Agenci, posiadający doskonale miejscowy język, oprowadzają gości po wystawie, a po oględzinach zawierają tranzakcye, niekiedy uskuteczniane na miejscu, gdyż okręt zawiera obok wystawy cały skład towarowy. W kilka miesięcy po wizycie okrętu chmura komiwojażerów spada na krajowców i na zasadzie poprzedniego doświadczenia w krótkim czasie znajduje zbyt dla niemieckich towarów.

Niemcy posuwają się tak daleko, iż szykują całe wyprawy jedynie dla celów handlowych. Oczywiście na zbytek tego rodzaju nie może pozwolić sobie luzak fabrykant, choćby posiadał krocie. Co innego t. zw. „stowarzyszenia eksporterów.“ Stowarzyszenia te istnieją od lat mniej więcej dziesięciu i w swoim czasie nabawiły Anglików takiego strachu, iż ci polecili swym konsulom zbadać ich działalność jak najdokładniej. Stowarzyszenia te posiadają własne muzea, w których przechowują się kolekcye próbek towarowych, odpowiadających wyrobom danego fachu. Mają one swe muzea i za granicą, jak np. w Sofii. One to wysyłają emisaryuszów na czele ekspedycyi na końce świata, one załatwiają ogłoszenia i reklamy dla swych członków, one rozsyłają na wszystkie strony katalogi, cenniki ilustrowane, albumy w rozmaitych językach oraz obszerne księgi adresowe, dostarczane bezpłatnie zagranicznym kupcom przez konsulów lub agentów stowarzyszenia. Saskoturyńskie stowarzyszenie np. ma stu głównych agentów we wszystkich większych miastach Europy oraz całą armię podagentów. Ci nadsyłają peryodycznie do biura korespondencyjnego sprawozdania o reformach zagranicznego prawa handlowego i upadłościowego, taryfach, markach, traktatach handlowych itd. Nadto za pośrednictwem stowarzyszenia członkowie jego zasięgają informacyj o kredycie swych klientów, przy jego pomocy ściągają wypłaty weksli, załatwiają sprawy sądowe itp. Tak oto przedstawia się w bengalskiem oświetleniu Schwoba organizacya handlowa Niemców.

Jeszcze jaskrawiej jednak występuje tą dzielność handlowa w zestawieniu z niesłychanem niedbalstwem Francuzów. Tylko tą lekkomyślnością i niezaradnością można wytłomaczyć sobie fakt, iż Niemcy zabrali Francuzom z pod nosa rynki w tych

właśnie krajach, które łączy z Francyą stosunek przyjazny. Stronice poświęcono opisowi tego fatalnego *qui pro quo* tchną prawdziwym tragizmem i z pewnością nie wróżą ojczyznie autora pomyślnych widoków na przyszłość. Schwob rozpatruje po kolei stosunki handlowe obydwóch narodów w Danii, Rosyi, Szwecyi, Norwegii i Holandyi. Dania, pobita przed laty na głowę przez Prusaków, pragnie z całego serca zbliżenia handlowego z Francyą — ale nadaremnie. Na siedem tysięcy komiwojażerów, zwiedzających Danię, przypada siedemdziesięciu francuskich. Jak zręcznie i w jak krótkim czasie natomiast puszcza korzenie handel niemiecki na obcej glebie, świadczy wymownie powodzenie Niemców w Rosyi od czasu zawarcia ostatniego traktatu handlowego. Podczas gdy wywóz z Rosyi do Niemiec wzrósł 1894 i 1895 r. o 35 mil., niemiecki do państwa rosyjskiego — o 74 mil., tak iż szala międzynarodowej wymiany przechyliła się odrazu na stronę Niemiec. Wypadki najwyraźniej stwierdziły opinię wydaną przez konsula francuskiego w Warszawie, a mianowicie, iż traktat ten wyjdzie tylko na korzyść Niemcom. Konkurenci Niemiec wyszli oczywiście najgorzej. Anglia traci w Rosyi jeden rynek za drugim, a Francya pomimo przymierza nie robi prawie żadnych postępów handlowych. To samo dzieje się w innych krajach, usposobionych przychylnie dla Francyi. Francuski generalny konsul w Holandyi w szeregu raportów, pełnych jeremiad, dowiódł, że najsłynniejsze artykuły francuskie przybywają obecnie do Holandyi... z Niemiec. Tak np. gwoździe zwane „Pointes de Paris," fabrykują obecnie Niemcy dla Holandyi na sumę 5 milionów. Niemcy wysyłają tam nietylko pianina i jedwab, dostarczane ongi przez Francyę, ale zdobyli się nawet na dostawę t. zw. „artykułów paryskich." Fabrykacya niemiecka jest licha, pozbawiona szyku, ale tania i przytem znajduje zbyt. „A pomyślmy — woła Schwob — iż wszystkie przytoczone tu narodowości są przyjaciołmi Francyi i nienawidzą Niemców." Tak to Niemcy wypierają Francuzów w krajach, gdzie Teutoni są niemile widzianymi gośćmi; łatwo się domyśleć, jak szybko zagarniają oni placówki handlowe na rynkach neutralnych. Słowem, wszystko przemawia za tem, że nastąpi dzień, kiedy Troja gallijska zostanie zburzoną lub zrujnowaną do szczętu przez Feaków nadszprewskich.

Widzieliśmy, iż Williams rozdzierał szaty i nawoływał rodaków do zburzenia Kartaginy. W wywodach Schwoba, obok skargi jako „Leitmotiv'u" nad śpiączką i upadkiem przemysłowym własnej ojczyzny, brzmiała jeszcze inna nuta — nuta zachwytu dla Teutonów, pnących się w górę po grzbietach swych rywali. Chcielibyśmy tu zanotować jeszcze jeden głos, opiewający wyłącznie chwałę i wielkość Niemców, a jednak wydobywający się z piersi Francuza. Tym bardziej jest znany ekonomista Georges Blondel, który, że się tak wyrażę, postawił sobie za zadanie życiowe dać całokształt bajecznych postępów handlowych i przemysłowych nowoczesnego państwa niemieckiego. Już w r. 1891 wygłosił ten uczony odczyt o włościaństwie niemieckiem w wiekach średnich, w 1892 wychodzi jego praca historyczna o polityce cesarza Fryderyka II. W r. 1897 drukuje on „Studya nad klasą rolniczą Niemiec i kryzysem agrarnym," a w 1898 ogłasza książkę pod tytułem „Rozkwit przemysłowo-handlowy narodu niemieckiego." Rzecz ta wyszła już w trzeciem wydaniu i obejmuje przeszło 500 stronic. Co najciekawsze, wspomniane prace uważa autor za „prolegomena" do wielkiego dzieła, które będzie nosiło tytuł „Całokształt ekonomiczno-społecznych przewrotów, zaszłych w Niemczech w ostatniej ćwierci XIX stulecia." Przytoczona tu litania prac naukowych daje zaiste dużo do myślenia. Mamy tu do czynienia z nieznanym prawie w dziejach wypadkiem, gdzie członek upadającego społeczeństwa poświęca się z zadziwiającą skromnością badaniu jego zajadłych wrogów; w toku badań przejmuje się bezgranicznem dla nich uwielbieniem. Nasuwa się mimowoli przypuszczenie, iż autorem kierowała chęć obudzenia swego narodu ze śpiączki i wpojenia mu nauk zaczerpniętych u Niemców. Rzecz się ma jednak trochę inaczej. W r. 1895 hr. Chambrun wyznacza większy fundusz na wyprawę naukową do Niemiec dla zbadania stosunków rolnych. Pomimo iż działo się to w czasie, gdy Niemcy zaczęły zbierać żniwo ze swych traktatów handlowych, pomimo iż srożył się tu kryzys rolny nie mniej silny, niż we Francyi, Blondel w towarzystwie czterech współrodaków udaje się do Niemiec. Wyprawa jego mogła mieć zatem cel naukowy, więcej teoretyczny, niż praktyczny. Nie będę tu opisywał wszystkich etapów tej podróży. Dość że autor zwiedza prowincyę za prowincyą, zatrzymując się w każdej miejscowości, która zdradza odmienną fizyognomię rolną i wypytując się, szczegółowo rolników, fachowców i urzędników studyuje jednocześnie obszerną literaturę każdej kwestyi. W ten sposób powstaje ciekawa pięknym językiem pisana oraz dziwnem uczuciem dla Niemców nacechowana praca. Blondel opisuje nam szczegółowo wszystkie instytucye społeczne jako to: mleczarnie spółkowe, stowarzyszenia chłopskie, sławetny związek rolników niemieckich, kasy kredytowe Raifeisena i Schultze-Delitscha, komisyę kolonizacyjną i banki ziemskie rentowe. W innem miejscu streszczaliśmy szczegółowo książkę Blondela, przetłomaczoną już na język niemiecki, tu wystarczy nam skonstatowanie faktu, iż przy każdej okazyi wydobywają się z piersi słowika francuskiego słodkie trele adoracyi dla Niemców, zwłaszcza dla ich dążności organizacyjnych, występujących jaskrawo nawet wśród włościan. Zdaniem Blondela, jest to jedyny sposób wyjścia z kryzysu rolnego. Organizacya i wytrwałość — oto droga zbawienia. Do tego wniosku dochodzi autor na zasadzie obserwacyj, porobionych nad chłopem niemieckim. „Położenie jest tem poważniejsze jeszcze — woła autor — iż, naszem zdaniem, niema środka cudotwórczego, któryby przez noc uszczęśliwił chłopa niemieckiego. Wszyscy ci, co pracują nad polepszeniem jego losu, powinni wymódz na nim, aby nie upadł na duchu, aby z dnia na dzień robił postępy, nie odczuwając zmęczenia i stopniowo dążył naprzód. Wierzę mocno, iż pomimo trudności niemieccy rolnicy wybrną z kryzysu, albowiem Niemiec, gdy nawet wolno kroczy naprzód, ma cierpliwość i może czekać." Receptę tę można, zdaje się, polecić choremu rolnictwu i pod innymi stopniami szerokości i długości. Przedewszystkiem zaś należy iść śladem tych Francuzów, co zamiast wyklinać swych wrogów, korzystają z ich własnego doświadczenia.

H. Forszteter.

NA MARGINESIE.

Przed kilku dniami zaczęto sprzedawać na ulicach Londynu pamflet przeciwko wojnie transwalskiej. Nie jest on pierwszy w szeregu, albowiem od początku wojny występowali przeciwko niej wszyscy, bezsilni atoli, przyjaciele pokoju, etycy i duża część związków robotniczych. Ciekawy zaś jest ten dokument dla innych względów. Przedewszystkiem nosi podpisy 140 prezydentów i sekretarzy *trade-union*'ów angielskich i innych organizacyj pracy, oraz podpisy wielu deputowanych (tytuł odezwy, liczącej tylko 4 strony, brzmi: Przywódcy ludu pracującego i wojna). Z nazwisk więcej znanych znajdujemy tu: John Burnsa, Wilsona, Steadmana, Archa, Keir Hardie'go i in. Podpisani zwracają się do ziomków, wskazując na źródła wojny zdradziecko wywołanej przez hordę kapitalistów, które najwyższy swój wyraz znajdują w dążeniu tych ostatnich do zdobycia taniej pracy Negrów w kopalniach złota. Większa część uitlanderów, z powodu których miała wybuchnąć wojna, nie byli wcale Anglikami, a większa połowa cudzoziemców, według zapewnienia poprzedniego gubernatora Cap'u, lorda Rosmeada, była nietylko po stronie rządu transwalskiego, ale co więcej, w liczbie 8.000 walczyła przeciwko Anglikom. Na zgromadzeniu akcyonaryuszów „Consolidated Gold Fields Company of South Africa" 14 listopada 1899 r. objaśnił przewodniczący, lord Harris, że towarzystwo przy kapitale wynoszącym 2,147 tysięcy funtów, otrzymało zysku 1,006 tysięcy fut. Zaś inżenier towarzystwa, John Hays Hamond, dodał, że po wojnie dochód podniesie się do wysokości 2,199 tys. f. Pospieszył jednak dodać, że zysk ten spłynie do kieszeni akcyonaryuszów dzięki taniej pracy Kafrów, których „dobry rząd" pozwoli sprowadzić i utrzymać na miejscu w ilości 80 tysięcy głów. Jeden z dyrektorów, Rudd, dodał, że Kafrowie zmuszeni będą do pracy przy pomocy opodatkowania, tj. w razie niemożności płacenia podatków zmuszeni będą pracować w kopalniach. W Kimberleyu, gdzie „panuje" Cecil Rhodes, płacą Kafrom 1—2 szyl. dziennie (10 godzin) i wolno pracować 7 dni w tygodniu. W Transwalu zaś płaca ta wynosi $1\frac{1}{4}$—$2\frac{1}{2}$ szyl. i wolno pracować tylko sześć dni w tygodniu. Rzecz tedy jasna, że zwolennicy wojny dążyć będą do zaprowadzenia w republikach anektowanych błogostanu Kimberleyu. Dziś jeszcze nie czas na pisanie umiejętnych dziejów tej wyprawy po złote runo, kończącej stare i rozpoczynającej nowe stulecie. Ale tem skwapliwiej należy zaznaczać i gromadzić dokumenty, wyjaśniające zagadki psychologiczne i ekonomiczne w całokształcie swym splatające się na odyseję nowoczesnych argonautów.

ROZPORZĄDZENIA URZĘDOWE.

Rozkaz do wydziału wojskowego z d. 4 stycznia 1901 r., nr. 3.

Rada państwa w departamencie praw i na zebraniu ogólnem, po rozpatrzeniu przedstawienia ministra wojny co do pełnienia przepisów, dotyczących regulaminu używania wojska do współdziałania z władzami cywilnemi, uchwaliła:

Jako zmianę i dopełnienie przepisów, obowiązujących co do regulaminu wzywania wojsk do współdziałania z władzami cywilnemi, postanowić:

„W wypadkach wyjątkowych, w razie braku wojsk innej broni, dozwolone jest, według uznania naczelników garnizonu, wysyłanie i artylerzystów pieszych (z szablami) w liczbie najmniej stu ludzi."

Takie postanowienie Rady państwa uzyskało zatwierdzenie Najwyższe w d. 21 grudnia 1900 r. Zawiadamiam o tem wydział wojskowy, jako uzupełnienie § 26 przepisów, dotyczących regulaminu używania wojsk do współdziałania z władzami cywilnemi, ogłoszonych w rozkazie do wydziału wojskowego w r. 1877 za nr. 427.

Podpisał: minister wojny
generał piechoty *Kuropatkin.*

(*Warsz. Dniew.*).

Postanowienie obowiazujące, wydane przez General-Gubernatora warszawskiego; na zasadzie Najwyżej w d. 11 kwietnia 1900 r. zatwierdzonej uchwały komitetu ministrów.

Podaję do wiadomości powszechnej:

Zgromadzanie i zbieranie się na ulicach, placach i w innych miejscach publicznych na narady lub w celach sprzeciwiających się porządkowi ogólnemu i spokojowi — są wzbronione.

Na wezwanie policyi zebrani ludzie obowiązani są niezwłocznie rozejść się, w razie zaś

nieposłuszeństwa przedsiębrane będą środki policyjne, a jeśli okażą się niedostateczne, użyta będzie siła wojskowa.

Winni przekroczenia niniejszego postanowienia, skazani będą przeze mnie na areszt do trzech miesięcy lub na karę pieniężną do 500 rubli.

Niniejsze postanowienie staje się obowiązującem po ogłoszeniu go w porządku ustanowionym i rozciąga się na m. Warszawę oraz na wszystkie gubernie Królestwa Polskiego.

D. 12 stycznia 1901 r. Podpisał: p. o. Generał-Gubernatora warszawskiego *Podgorodnikow.*

(*Gazeta policyjna*).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewn. zawiadomiło gubernatorów, że nie będzie uwzględniało starań zarządów miejskich o zasiłki skarbu na potrzeby miejskie. Miasta powinny uciekać się do kredytu bankowego lub korzystać z prawa wypuszczania obligacyj. (*Warsz. Dniew.*)

— Zakłady prywatne, handlujące trunkami, podciągnięte pod rozporządzenie ministeryalne o ograniczeniu godzin handlu trunkami w dnie świąteczne i przedświąteczne, otrzymały zawiadomienie, że zarządzenie to ulegnie dla Warszawy odwołaniu.

— Spis ludności m. Krakowa wykazał 84,862 mieszkańców, nie licząc wojska.

Prasa. Dwie koncesye na wydawnictwo nowych pism otrzymali: pp. Telesfor Trojanowski na wydawnictwo tygodnika artystycznego p. t. *Kuryer teatralny* i drugą adw. przys. Henryk Wyczałkowski, na dwutygodnik, poświęcony sprawom mieszkań warszawskich, *Gospodarz i lokator*.

Szkoły. Ministeryum oświaty, jak donoszą dzienniki petersburskie, potwierdziło na rok bieżący swoje zeszłoroczne rozporządzenie, upoważniające rady pedagogiczne gimnazyów do promowania uczniów do wyższych klas bez egzaminów przejściowych.

Rozmaitości. Pamięć Verdiego uczcił hymnem Gabryel d'Annunzio w teatrze turyńskim „Regia." Przybył do tego miasta w celu wypowiedzenia kilku ód z cyklu „Garibaldi." Uwzględniając smutek powszechny, wywołany śmiercią wielkiego kompozytora, rozpoczął swój wykład od prologu, w którym wyraził żal, że na jego miejscu nie znajduje się ten, który przedewszystkiem miał prawo w takiej chwili przemawiać — Giosue Carducci. Następnie zastanowił się nad pytaniem, co byłoby lepsze, czy wogóle na znak żałoby wykład odłożyć, czy też go wypowiedzieć. „Mniemam, że należy mówić. Zali jest co godniejszego, obywatele potężnego miasta, ponad uczczenie wędrówki wielkiego męża ku wiekuistości śmierci i chwały, w ten sposób, że śpiewamy sławę innego również wielkiego bohatera, którego odnajdzie niebawem na asfodelosowych równinach, poczętych w fantazyi naszych przodków starożytnych? Twórca tysięcy melodyj jest równie godnym apoteozy heroicznej, jak zwycięzca w setkach bitew. Na równi z Giuseppem Garibaldi — Giuseppe Verdi jest budzicielem i objawicielem swego plemienia. Morze jego sztuki posiada siłę, równą burzy czynów Garibaldiego."

Zmarli. Juliusz Zeyer, znakomity poeta czeski w Pradze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Ant. Sad. Zbyt sentymentalne i słabe. Do zwrotu.

W pr. Pr. w Warsz. Sonety bez wartości.

Panu M. Rudnickiemu. Rękopis wraz z oceną do zwrotu w Administracyi *Prawdy*.

W. O. 1) Spółka taka nie istnieje, tylko niektóre księgarnie mają kolporterów na prowincyi. 2) Obie te prace wyjdą później zupełnie przerobione uzupełnione. 3) Pozostałe trzy części również wydane będą później.

Czytelniczce. W księgarni S. Dembego (Marszałkowska 72).

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Января 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.